Dziś w numerze: A. F. GRABSKI **O powstaniu warszawskim...** ● **„Mazowsze" w mongolskiej jurcie** ● K. POGORZELEC **Skarby na sprzedaż** ● **Komu mają służyć wystawy?** ● **Zabawy i obsesje** ● **Między nami delfinami** ● **Skok**

odgłosu

WOJEWÓDZKA ODZNAKA M. ŁODZI

32 (525)
10. VIII. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

Fot. W. Parys

KAROL BADZIAK

Spotkanie z Polską

W festiwalowej lawinie, jaka toczy się przez nasz kraj, festiwal rzeszowski był najmniej sensacyjny, choć najbardziej wyjątkowy. Bez emocji, autografów i sławnych nazwisk, lecz pełen scen, zdarzeń i spotkań wzruszających.

Przyjechało do Rzeszowa 400 młodych ludzi z całego świata, by wziąć tutaj udział w Festiwalu Polonijnych Zespołów Artystycznych. Jedni na Okęciu po wyjściu z samolotu klękali i całowali polską ziemię, inni nie znali nawet języka kraju swych przodków. Wszyscy jednak śpiewali po polsku, tańczyli kujawiaka, krakowiaka, poloneza. Scena miejscowego teatru kolorowiła się przez trzy dni polskością, którą wywieźli z sobą ich dziadowie i ojcowie. Tyle żaru było w ich krakowiakach i kujawiakach, tyle godności w polonezie i mazurze, jakby tu w Polsce tych tańców się uczyli.

Spotkałem wśród polonijnej publiczności starszą miłą panią, bez przerwy operującą aparatem fotograficznym. Przyjechała do Polski z wnuczką, która tańczy w zespole „Krakowiak" z Bostonu. Sama również jest wnuczką polskiego emigranta z 1886 roku. Jej dziad, syn powstańca z 1863 roku opuścił kraj z obawy przed służbą w carskiej armii.

Starsza pani, choć urodzona w Ameryce, świetnie mówi po polsku. Kraj swego dziadka odwiedziła po raz pierwszy.

— Dumna jestem, że wywodzę się z waszego narodu — stwierdziła szczerze. Żałuję, że mój ojciec zmienił nazwisko, nazywałabym się z domu Wójtowicz. Ale sam pan rozumie, dawniej ciężko było być Polakiem w Ameryce.

Dalszy ciąg na str. 3

JAN BĄBIŃSKI

Dlaczego wojna trwała 5 lat?

Zbliża się 30 rocznica wybuchu drugiej wojny światowej. Z tej okazji książki o charakterze przyczynkarskim, ale też o pewnej wartości historycznej ukazują się w wielu krajach Europy — przez stulecia nękanego wojnami kontynentu. Jedną z ciekawszych pozycji tej serii wydaje się być dzieło angielskiego historyka Jon Kimche, które wyszło niedawno, od razu w przekładzie niemieckim, nakładem Deutsche Verlags-Anstalt w Stuttgarcie, Książka nosi tytuł — „Kriegsende 1939?" — Koniec wojny już w 1939 roku?

Kimche już w tytule swego dzieła stawia kwestię, która jak sam wyznaje pasjonowała go przez długie lata. Nie tylko zresztą jego. Każdy z nas ma jakiś osobisty stosunek do tej sprawy. Czy można było zakończyć drugą wojnę światową już w 1939 roku? Angielski historyk badał ten problem u źródeł. Przejrzał setki akt i spędził długie wieczory na szperaniu w dyplomatycznych i wojskowych archiwach. Wynurzenia brytyjskiego naukowca są tak ciekawe, że warto je chyba przytoczyć nawet jeśliby budziły takie czy inne wątpliwości. Są śmiałym spojrzeniem na kwestię, która przez długi jeszcze czas będzie zaprzątać najtęższe głowy pośród europejskich historyków. Kimche stawia problem na ostrzu noża.

Uważa, że najbardziej krytyczny moment dla hitlerowskiej dyktatury nastąpił, gdy Francja i Anglia, wykonując zobowiązania wobec napadniętej Polski, wypowiedziały Niemcom wojnę. Moment dlatego był krytyczny, że najazd na Polskę przeobraził się tym samym w wojnę na dwa fronty. Takiej wojny obawiał się panicznie nawet Hitler. Przestrzegał przed nią swych ziomków w osławionym „Mein Kampf". Przewaga militarna mocarstw zachodnich była wówczas ogromna. Zdecydowany atak na pozycje niemieckie mógł przynieść oszołamiający wprost sukces już w pierwszych dniach wojny.

Na ogół przypuszcza się dość powszechnie, że Hitler dlatego przegrał wojnę, że wdał się równocześnie w wojnę ze Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi. Wynik takich zmagań mógł oczywiście być tylko jeden. Tym bardziej, że Japonia wbrew oczekiwaniom Hitlera, nie otworzyła drugiego frontu przeciw Rosji na Dalekim Wschodzie. Kimche sądzi, że najważniejszą bitwą drugiej wojny światowej była bitwa, której alianci nigdy Hitlerowi nie wydali. W grę wchodził wrzesień 1939 roku. Wtedy to należało rozpocząć zdecydowaną ofensywę przeciw hitlerowcom na całym zachodnim froncie. To właśnie ta bitwa, której nigdy nie stoczono, kosztowała Europę więcej zabitych niż wszystkie inne walki na frontach drugiej wojny światowej razem wzięte. Kimche pisze: „Europa straciła 20 milionów ludzi. A jeszcze trzeba by do tego dodać nieopisane okrucieństwa, jakie musiała znieść podbita Polska, a także inne kraje starego kontynentu. Można by tego wszystkiego uniknąć, gdyby mocarstwa zachodnie zaatakowały hitlerowską armię już w pierwszym tygodniu wojny"...

Znany historyk angielski Lidell Hart jest wszakże innego zdania. W licznych wydanych po wojnie dziełach stale powtarzał, że:

„Alianci z tego względu nie przyszli Polsce z pomocą, że nie mieli po temu środków ani możliwości".

Jon Kimche określa ten pogląd dosyć szeroko zresztą rozpowszechniony, jako pozbawioną wszelkich rzeczowych podstaw legendę. Na podstawie zebranych przez siebie dokumentów wykazał, że nie ukończonej jeszcze „Linii Zygfryda" broniło 8 nieźle wyszkolonych niemieckich dywizji oraz 25 dywizji, które trzeba by raczej określić jako „Landsturm", coś w rodzaju pospolitego ruszenia fatalnie uzbrojonych piechurów. Całą tę armię, która broniła wówczas dojścia do Renu, dałoby się w najlepszym wypadku zaszeregować do „Heimatschutztruppen", do czegoś, co byśmy dziś nazwali rodzajem terytorialnej obrony. Przeciw tej armii Francuzi mogli we wrześniu 1939 roku wystawić od 72 do 85 dywizji regularnego wojska. Dużymi siłami rozporządzali już wtedy także Anglicy i to nie tylko na lądzie, ale głównie na morzu i w powietrzu. Alianci posiadali na froncie zachodnim 1700 bombowców i myśliwców. Mieli absolutną przewagę w powietrzu, gdyż cała prawie Luftwaffe zaangażowana była walkami w Polsce.

Alianci pozostali jednak bezczynni.

Odważyli się jedynie na symboliczny wypad w rejon Saarbruecken, któremu usiłowali nadać wielki rozgłos propagandowy.

Kimche przypomina o pewnym znamiennym wypadku. Otóż uzgodniono między szefami sztabów armii francuskiej i polskiej, że począwszy od czwartego dnia wojny na froncie zachodnim będą rozwijane operacje zaczepne, które w piętnastym dniu wojny miały się przekształcić w a-

Dalszy ciąg na str. 4

ze ŚWIATA

W pół roku po przejęciu od Johnsona urzędu prezydenckiego Richard Nixon wybrał się w podróż po Azji. Jej trasa wiodła przez Filipiny, Indonezję, Syjam, Indie, Pakistan i Wietnam Południowy. Na konferencji prasowej, poprzedzającej podróż, Nixon oświadczył, że celem, jaki będzie mu przyświecał, jest torowanie drogi do zrozumienia roli Ameryki po wygaszeniu konfliktu wietnamskiego. Można by zatem oczekiwać, że prezydent po pierwsze — określi jakiś konstruktywny program polityki amerykańskiej w tym rejonie świata, a po drugie — zapowie przyspieszenie rozwiązania konfliktu wietnamskiego. Nic takiego się nie stało. Wprawdzie Nixon zapewniał, że Stany Zjednoczone nie zamierzają wdać się w tym rejonie świata w żadną nową wojnę, ale też nie uczynił nic, aby słowa te zabrzmiały prawdziwie. Więcej — w Syjamie na przykład zaciągnął tak daleko idące zobowiązania wobec tamtejszego reżimu że o nowy konflikt byłoby nietrudno. Zaniepokoiło to społeczeństwo amerykańskie i rzecznik prezydenta długo musiał wyjaśniać, że słowa Nixona źle zostały zrozumiane.

Również w Południowym Wietnamie prezydent nie otworzył nadziei. Jego słowa, że kres wojnie trzeba położyć w taki sposób, aby „nie stworzyć zachęty dla jeszcze jednej wojny" oraz że „poszliśmy w rokowaniach tak daleko, jak mogliśmy" — znaczą, iż USA nie zamierzają w Paryżu dokonać ustępstw i rozmowy jeszcze przez dłuższy okres mogą pozostać w impasie. Do takiego wniosku upoważnia również poparcie, jakiego Nixon udzielił sajgońskiej ofercie przeprowadzenia tzw. wolnych wyborów.

Wyjaśnialiśmy już na tym miejscu, iż propozycja ta jest po prostu zabiegiem propagandowym i nie może być kierunkiem rozwiązania konfliktu.

Nixon w czasie swego pobytu w Wietnamie powiedział jeszcze o dwóch sprawach, które warto zapamiętać. A więc, że wojna ta „jest jedną z najszczytniejszych godzin Ameryki" i że jest „najtrudniejszą, jaką jakakolwiek armia kiedykolwiek prowadziła". Z pierwszego wynika poparcie dla amerykańskiej polityki wobec Wietnamu, prowadzonej przez jego poprzedników, z drugiego — przyznanie się do militarnych niepowodzeń i próba ich usprawiedliwienia.

W czasie wizyty w wymienionych krajach azjatyckich — Nixon dużo mówił o zagadnieniach rozwoju gospodarczego i społecznego w celu „zapewnienia krajom azjatyckim stabilności". Jest to najprawdopodobniej zapowiedź nowej ekspansji amerykańskiego kapitału. Co się za tym kryje — miały możność przekonać się już liczne kraje. Dlatego podróży Nixona towarzyszyła prawdziwa fala antyamerykańskich demonstracji, których naczelnymi hasłami było nawoływanie do pozostawienia Azji w spokoju.

Dlaczego Nixon udał się w podróż właśnie teraz — w środku lata?

Komentatorzy zachodni przyznają, iż miała ona odbywać się w aureoli sukcesu amerykańskich selenonautów.

* * *

Codzienne doniesienia z Bliskiego Wschodu wydają się wskazywać, że sytuacja znów się zaostrza. Rejon Kanału Sueskiego od pewnego czasu jest widownią ostrej wymiany ognia przy użyciu samolotów i artylerii. Nasilają się również represje wobec ludności arabskiej na okupowanych terenach. Oczekuje się, że sekretarz generalny ONZ — U Thant przypomni rządowi Izraela rezolucję przyjętą przez Radę Bezpieczeństwa w dniu 3 lipca br., zdecydowanie potępiającą izraelską działalność w arabskiej części Jerozolimy.

Do wzrostu napięcia przyczyniają się zbrojne zaczepki wojsk Dajana, którym wtórują oficjalne oświadczenia, zapowiadające nieustępliwość.

Zdaniem licznych komentatorów — ma to swój związek z nadziejami, iż polityka francuska będzie ewoluować w kierunku Izraela, a Stany Zjednoczone opóźniać będą przebieg rozmów przedstawicieli stałych członków Rady Bezpieczeństwa.

Z innych wydarzeń odnotujmy jeszcze sytuację we Włoszech. Trwający tam kryzys rządowy pogłębił się z chwilą, kiedy desygnowany na premiera Rumor po długich konsultacjach zrezygnował z misji utworzenia nowego rządu o charakterze koalicyjnym. Jako że szanse powołania gabinetu jednopartyjnego nie wchodzą w rachubę — wydaje się, iż coraz bardziej dojrzewa sytuacja do rozwiązania parlamentu i rozpisania nowych wyborów. Pisaliśmy już na tym miejscu, że takim rozwiązaniem nie jest zainteresowana żadna z wpływowych partii włoskich.

W. SŁAWSKI

ANDRZEJ FELIKS GRABSKI

O powstaniu warszawskim rozważań ciąg dalszy

„Jest w dziejach naszego narodu jakaś wielka niewspółmierność. Od czasów rozbiorów Polacy dawali z siebie wielokrotnie ogromne wysiłki. Większe niż inne narody. Nie żałowali ni krwi, ni mienia. Im bliżej czasów, w których żyjemy, tym wysiłki te były większe i powszechniejsze. Pod tym względem nie jesteśmy na pewno gorsi od innych narodów, mamy uzasadnione ambicje, że jesteśmy równie dobrzy, jeżeli nawet nie lepsi. Ale jest charakterystyczne, że wyniki tych wysiłków nie pozostawały w żadnym stosunku do włożonych ofiar. Te wyniki były niezmiennie małe albo nawet żadne. Nadto często były to katastrofy. Rzuca się w oczy, że nie zawodzili żołnierze i społeczeństwo, ale zawodziło kierownictwo polityczne i wojskowe."

Tymi gorzkimi słowy wieńczy swe rozważania o powstaniu warszawskim generał Jerzy Kirchmayer, były członek Komendy Głównej AK, a więc człowiek w 1944 roku na pewno bliższy Londynu niż Lublina, któremu głęboki patriotyzm i realizm polityczny kazał przeprowadzić druzgocącą krytykę polityki sprawców warszawskiej tragedii. Bilans jego refleksji jest nad wyraz pesymistyczny: „Faktem najbardziej ogólnym i najbardziej bezspornym jest, że powstanie zakończyło się całkowitą klęską wojskową, polityczną i materialną. Nie trzeba przysłaniać tego faktu zwalaniem winy na innych — na Armię Radziecką, na rządy i dowództwo anglosaskie, na PKWN i I Armię Polską. Trzeba stanąć na stanowisku, że kto poniósł klęskę, ten jest winien, ponieważ jego przewidywania były mylne, ponieważ nie obliczył swoich sił, powziął zły plan działania, nie uwzględnił warunków czasu, nie wytrzymał nerwowo itp." Ale pesymizm ten obarcza tylko sprawców klęski. Inaczej być nie może. „Bohaterstwo, ofiarność i zaciętość powstańców są największym w naszej historii przejawem walki o wolność jako wartości wyższej niż życie ludzkie, niż wszystkie dobra materialne. Byłoby ciężkim błędem nie doceniać, a co gorsza odżegnywać się od takich wartości duchowych. Bohaterstwo powstańców równało się spełnieniu obowiązku żołnierskiego **ponad zwykłe możliwości ludzkie i aż do końca.** Nic w tym nie może znaczyć fakt, że ci, którzy wywołali powstanie, nie mieli racji. **Powstańcy warszawscy pozostaną na zawsze w naszej historii najpiękniejszym wzorem żołnierzy,** którzy w zrozumieniu niezwykłej trudności zadania nie cofnęli się przed wykonaniem go, lecz bez wahania ruszyli w bój i trwali w nim nawet wówczas, gdy zrozumieli jego beznadziejność. **W tej walce przyświecało im tylko umiłowanie wolności i ojczyzny."**

Sięgnij teraz, Czytelniku, do innej książki, do pracy A. Skarżyńskiego „Polityczne przyczyny powstania warszawskiego". Zalecam ją tym, którzy nie pozbyli się jeszcze złudzeń. Największym oskarżeniem sprawców powstania są ich własne słowa, które przetrwały w tekstach depesz, rozmów telegraficznych i radiowych, przemówień i artykułów. A. Skarżyński zebrał ich bardzo wiele, choć na pewno nie wszystkie. Ale to, czym dysponujemy, wystarczy najzupełniej.

Co za lęk przed radykalizacją społeczeństwa polskiego pod okupacją! Jaka obawa dźwięczy w depeszy T. Bora-Komorowskiego, w której donosi on, że „w masach pojawia się skłonność do traktowania Sowietów jako wybawców od terroru niemieckiego"! Ten sam Bór pisał 30 grudnia 1943 roku w depeszy do K. Sosnkowskiego, że „w warstwach posiadających obawa przez zagładą i komuną wytwarza nastroje podatne na zawieszenie broni z Niemcami na platformie antysowieckiej". A jakiż sens polityczny posiada oświadczenie Bora z lipca 1944 roku, w którym postulował on „odebranie inicjatywy reform społecznych w Polsce i dokonanie natychmiast takich pociągnięć prawnych, które by natchnęły szerokie masy ludowe wsi i miast pełnym zaufaniem do polskiego (tj. londyńskiego) czynnika kierowniczego. Zaangażowanie się w tym kierunku polskiego czynnika kierowniczego musi być tak duże, aby masy stanęły po jego stronie także w otwartej walce z Sowietami. Ponieważ to zdobycie zaufania wymaga czasu, a Sowiety już wkraczają, przeto odpowiednie akty muszą być dokonane natychmiast." Jeszcze jeden cytat, tym razem z organu „Obozu Polski Walczącej" z kwietnia 1944 roku: „Komunizm jest wrogiem zupełnie takim samym, jak niemczyzna. Akcja w stosunku do komuny nie może dlatego ograniczyć się do obrony własnych szeregów, ale uderzać musi zdecydowanie w ośrodki komuny, dążąc czynnie do ich likwidacji. Akcja w tej sprawie posiadać musi charakter i cechy działania umotywowanego wyższymi koniecznościami wojny, tym więcej, że mamy do czynienia z wrogiem śmiertelnym i szczególnie groźnym. Armia sowiecka powinna na naszych ziemiach zastać zwarty front polski, oczyszczony całkowicie z wszelkich agentur komunistycznych". Chyba to wystarczy. Teraz rozumiemy jak powstał osławiony rozkaz Bora z 15 września 1943 roku mówiący o „likwidacji przywódców i agitatorów", rozumiemy jak doszło do bratobójczej walki w czasie, kiedy wróg nie ustąpił jeszcze z ziem polskich. Wszystko to są fakty.

A. Skarżyński wydobył na światło dzienne osobliwy dokument zatytułowany „Ruch niepodległościowy wobec wkroczenia wojsk sowieckich", opracowany przez Biuro Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK dnia 16 lutego 1944 roku. Z analizy położenia kraju sformułowano tu następujące wnioski: „Całe społeczeństwo polskie pragnie przede wszystkim jak najszybszego wyzwolenia z niewoli niemieckiej. Patriotyzm szerokich mas pokrywa się prawie całkowicie z chęcią walki z Niemcami, a nie z Sowietami". I wniosek drugi: „Hasło walki z Niemcami na płaszczyźnie ogólnopolskiej, patriotycznej i apolitycznej jest niewątpliwie hasłem o największej atrakcyjności w chwili obecnej", zaś propagowanie go przez PPR jest z punktu widzenia Delegatury szczególnie niebezpieczne. Z wniosków tych wyprowadzono ważkie konkluzje. Nie należy utrzymywać ruchu powstańczego w podziemiu, bowiem ułatwiłoby to sytuację komunistom: „Polskę spod jarzma niemieckiego wyzwalaliby wtedy bolszewicy i ich polskie agendy. Odwróciłoby to sympatie mas od istotnie polskich ośrodków dyspozycji — jak określali się sami autorzy — i oddało wodze w ręce PPR. Osłabiłoby to bardzo mocno możność naszego oddziaływania na społeczeństwo w przyszłości." I wreszcie ważkie zdanie: „Wszczęcie ruchu powstańczego w przededniu klęski niemieckiej na wschodzie — to schwycenie przewodnictwa i władzy nad narodem oraz niedopuszczenie do przejęcia inicjatywy przez agentury sowieckie (jak określano polskie organizacje komunistyczne, zgodnie z tradycją przedwojennego komunizmu) i elementy skłonne do współdziałania z nimi..."

Sapienti sat, czyli myślącemu wystarczy.

Łodzianie w karykaturze

MIECZYSŁAW JAGOSZEWSKI
— nestor dziennikarzy łódzkich

Rys. Ibis-Gratkowski

ZA TYDZIEŃ W „ODGŁOSACH"

- **R. KACZMAREK**
  Łódź, moje miasto
- **A. F. GRABSKI**
  250 000 Polaków
- **K. ŚWIEGOCKI**
  Egzamin jest chwilą

oraz

- **Sztuka polska w Paryżu**
- **Tajemnice dyplomatycznych sejfów**
- **Nowela kryminalna**

NAGRODY Wojewódzkiej Rady Narodowej

Jak co roku w lipcowe święto Wojewódzka Rada Narodowa w Łodzi przyznała pięciu osobom nagrody za działalność kulturalno-oświatową, artystyczną i społeczną.

DR RYSZARD ROSIN otrzymał nagrodę za społeczną działalność kulturalno-oświatową.

ANNA i HENRYK ŚWIĄTKOWSCY otrzymali nagrodę za upowszechnianie twórczości ludowej.

MIECZYSŁAW STEFAŃSKI został nagrodzony za działalność w dziedzinie upowszechniania teatru na ziemi łódzkiej.

MARIAN MAŁOWIEJSKI otrzymał nagrodę za wybitne osiągnięcia w dziedzinie techniki, racjonalizacji i wynalazczości.

Laureatom nagród WRN składamy serdeczne gratulacje.

Spotkanie z Polską

Dalszy ciąg ze str. 1

Znamienna rzecz, bardzo wielu Polaków w Ameryce wraca obecnie do swych polskich nazwisk. Dziś widocznie nie trzeba się tam krępować polskiego pochodzenia. Jest to przede wszystkim zasługa Polaków w kraju.

W szkole, gdzie zostali ulokowani uczestnicy festiwalu, spotykam czwórkę mężczyzn. Wiodą z sobą rozmowę aż do bólu rąk. Widać wyraźnie, że mają sporo trudności z porozumieniem się. Okazuje się, że są to rodzeni bracia. Rodzeni we Francji, dokąd ich ojca wygnała przysłowiowa galicyjska nędza w 1930 roku. Wiosną 1939 roku ojciec powrócił do kraju. Była akurat okazja, rząd przedwrześniowy zafundował wtedy emigrantom darmowy pociąg do Polski. Ojciec skorzystał, zabrał z sobą najmłodsze rodzeństwo, starszego syna i córkę zostawił. Dziś sytuacja wygląda następująco. Ci najmłodsi urodzeni we Francji wrócili do kraju, zapomnieli języka francuskiego, dwoje starszych urodzonych w Polsce pozostało na emigracji, zapomnieli języka polskiego. W Rzeszowie nastąpiło spotkanie po latach. Bracia dosłownie nie mogli się z sobą porozumieć.

Z braku hoteli wszyscy uczestnicy festiwalu rozlokowani zostali w trzech nowych szkołach. Niektórzy z nich początkowo podejrzewali, że szkoły te wybudowano specjalnie w celach propagandowych. Cóż, na Zachodzie szkoły są stare, a hotele nowoczesne.

Młodzi polscy goście z zagranicy przywieźli z sobą obraz starego kraju dość mglisty i osobliwy. Widziany bowiem przez pryzmat wspomnień ich ojców lub dziadków, nierzadko skrzywiony również przez brak właściwej informacji o Polsce. Warto więc posłuchać ich spostrzeżeń i refleksji, ponieważ sentyment do naszego kraju przejęty od dawnych emigrantów nie wyklucza realizmu w spojrzeniu.

Mówi Antonio O. Polańczyk z Brazylii.

— O Polsce opowiadała mi babcia, która wyjechała stąd, gdy miała 12 lat. Mówiła, że tu wielka bieda. Mama i tata urodzili się w Brazylii, nigdy w Polsce nie byli i nie mogą przyjechać. Bardzo się cieszę, że mogę się tu uczyć piosenek i tańców na kursie zorganizowanym przez Towarzystwo Łączności z Polonią. Sam przyjechałem i wszyscy na mnie czekają, będę musiał długo opowiadać co tu zobaczyłem: Warszawę, góry, morze! A potem będę musiał uczyć wszystkich tańczyć krakowiaka, mazura, poloneza... Wszystko mi się tu podoba, a szczególnie dziewczyny.

— Dużo radości sprawia mi to, że wyraźnie widać zmiany w Polsce — mówi Kazimierz Młot, kierownik Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk" z Lyonu. — Wyjechałem z kraju w 1939 roku. Rzuca się w oczy wiele zmian. Gdzie, na przykład, przed wojną chłop mógł pójść na kawę. Teraz ku zdziwieniu zobaczyłem na wsiach kawiarnie.

Mówi Danuta Dzierżanowska ze Szkocji.

— Co mi się podoba?! Przede wszystkim ludzie są mili. Nie mogę się wysłowić, ale chcę powiedzieć, że nie czuję się tu obco, chociaż urodziłam się w Szkocji. Chcę się nauczyć polskich tańców i z przyjaciółkami Victorią Baran i Krystyną Camber, które ze mną przyjechały, chcemy u siebie założyć zespół folklorystyczny.

Otóż obok zespołów artystycznych Rzeszów gościł również około 100 osób pochodzenia polskiego, które przebywały tutaj na specjalnie zorganizowanym kursie polskiego folkloru.

Co można powiedzieć o samym festiwalu? Oczywiście poziom artystyczny zespołów był dość nierówny. Jedni tańczą jak zawodowcy, inni po amatorsku. Ale przecież nie to jest istotne. Na tym festiwalu liczył się zapał, żarliwość, miłość do Polski, stopień więzi z odległą na co dzień starą Ojczyzną. Festiwal w Rzeszowie był nie tyle wydarzeniem artystycznym, co przede wszystkim społecznym, patriotycznym.

Polonia stanowi wielką, prawie 10-milionową społeczność, na którą złożyło się w miarę upływu dziesięcioleci wiele pokoleń. Są w Polonii urodzeni w Polsce, ale są również miliony potomków tej generacji. Żyją wśród tej ogromnej rzeszy ludzie mówiący po polsku płynnie, słabo i nie władający w ogóle naszym językiem. Są wśród Polonii ludzie najściślej związani sercem z ich polską Ojczyzną i sentymentem przekazywanym przez przodków, są również inni, których łączy z Polską tylko świadomość polskiego pochodzenia i w związku z tym szczególne zaciekawienie naszym krajem.

„Nikt rzucony na wielkie odmęty ogromnego świata nie może na dłuższą metę zaspokajać swoich kulturalnych, społecznych i moralnych potrzeb odczuwanych z racji polskiego pochodzenia — pisze prof. dr Mieczysław Klimaszewski, prezes Towarzystwa „Polonia". — Im silniejsza, bogatsza staje się Polska, im bardziej dynamicznie się rozwija, tym lepsze powstają warunki dla społecznej pozycji i autorytetu każdego, kto wywodzi się z narodowego pnia polskiego.

Polonia zagraniczna chce być na pewno dumna z Polski. Ale i Polska pragnie być dumna ze swej Polonii, ze swoich synów, córek i ich potomków rozsianych po całej kuli ziemskiej, z ich osiągnięć i roli w świecie, jak również z ich niezniszczalnej pamięci i sentymentu do Polski".

Polonia dawała i daje bez przerwy rozliczne dowody swego rzeczywistego, serdecznego stosunku do Ojczyzny. Przede wszystkim solidarna jest z nami w kwestii granic na Odrze i Nysie. Broni dobrego imienia Polaków i Polski w świecie. W ostatnim okresie patriotyczna Polonia wystąpiła zdecydowanie przeciwko propagandzie syjonistycznej plugawiącej nasz naród do spółki z neohitlerowcami z NRF.

Polonijne zespoły artystyczne są propagatorem kultury polskiej wśród innych narodów. Festiwal rzeszowski zaktywizował działalność tych zespołów i na tym polega jego doniosła rola. W rzeszowskiej imprezie wzięło udział 13 zespołów z pięciu krajów.

Polonię amerykańską, największą liczebnie, reprezentował zespół taneczny „Krakowiak" z Bostonu. Powstał on w 1937 roku i może się poszczycić bogatym dorobkiem artystycznym. Występował niejednokrotnie w telewizji amerykańskiej, a także na wystawie światowej w Nowym Jorku. „Krakowiak" uwzględnia w swym repertuarze głównie polski folklor ludowy. W Rzeszowie zespół odniósł duży sukces, otrzymując jedną z trzech Wielkich Nagród Festiwalu.

Polonię francuską, największą po Stanach Zjednoczonych (750 tys. osób, w tym 450 tys. posiada obywatelstwo polskie), reprezentowało 5 zespołów.

Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk" powstał w 1955 roku w Lyonie. Członkowie zespołu to głównie członkowie rodzin pochodzących ze Śląska, synowie górników. W 1958 roku wziął udział w konkursie zespołów polskich we Francji, gdzie otrzymał I nagrodę. Następne lata przynoszą mu również sukcesy: zdobywa I nagrodę na występach artystycznych w Mames-les Mines w 1959 r. i w Salamines. „Śląsk" odwiedza wiele miast Francji, występuje w telewizji francuskiej, uczestniczy w przeglądach artystycznych, w festiwalach i kiermaszach.

Zespół taneczny „Sokół" powstał przy polskim Towarzystwie Gimnastycznym w Carvin w 1953 r. Dzięki aktywnej działalności wysuwa się na czoło w Sokolim Związku. Zdobywa coraz większą liczbę zwolenników nie tylko wśród Polaków, ale także Francuzów, którzy również zasilają jego szeregi. Zespół z dużym uznaniem koncertował w takich miastach jak: Paryż, Arras, St. Amand, Lille.

Zespół taneczny „Ligi Flandryjskiej" z Montigny jest również szeroko znany we Francji. Uczestniczy w różnych uroczystościach polonijnych i francuskich. Bierze udział m. in. w dorocznych festiwalach w Pas de Calais, turniejach folklorystycznych w Lille organizowanych pod patronatem konsulatu generalnego PRL.

Zespół taneczny „Łowiczanka" z Persan powstał przed pięcioma laty. Do zespołu napływała najpierw młodzież polska, a potem i francuska. Od lokalnych sukcesów zaczęła się jego dalsza kariera artystyczna. Przez kolejne trzy lata występował na festiwalach różnych narodów europejskich zdobywając nagrody i wyróżnienia.

Fot. J. Jawczak

Zespół Pieśni i Tańca „Krakowiak" powstał w 1953 roku. W krótkim czasie uczestniczył w Wielkim Festiwalu Bretońskim w Vitre oraz dorocznym święcie „l'Humanite" w Paryżu.

Polonię belgijską liczącą około 35 tysięcy osób reprezentowały dwa zespoły artystyczne. Zespół Pieśni i Tańca „Krakus", który powstał w 1959 roku, na wielu festiwalach międzynarodowych i krajowych zdobywa pierwsze miejsca. W konkursie folklorystycznym o Puchar Przechodni Tysiąclecia Państwa Polskiego jest trzykrotnym zwycięzcą i zdobywcą pucharu.

„Polonez" z Belgii, to zespół który od 12 lat zachwyca Polaków i Belgów pięknem polskiego tańca ludowego. Przy zespole istnieje również chór ludowy.

Polonię holenderską liczącą około 5 tys. osób również reprezentowały dwa zespoły folklorystyczne.

Zespół taneczny „Mazur", który powstał w 1953 roku, cieszy się dużym powodzeniem w Holandii. Początkowo liczył 6 osób, obecnie 34, grupuje w swych szeregach miłośników tańca i polskiej melodii. Drugi zespół „Syrena" powstał w 1957 roku przy Związku Polaków w Holandii. W repertuarze posiada 8 tańców ludowych i wiele piosenek, które cieszą się dużym powodzeniem wśród miejscowej Polonii i społeczeństwa holenderskiego.

Polonię węgierską (2 tys. osób) reprezentował zespół taneczny im. Józefa Bema z Budapesztu. W tym roku zespół obchodził 10-lecie istnienia. Początkowo w swoim repertuarze miał tylko tańce polskie, w ostatnich latach wprowadził do programu tańce węgierskie. Zespół ten na festiwalu w Rzeszowie cieszył się największym powodzeniem publiczności.

Wielotysięczną Polonię czechosłowacką reprezentował zespół „Olza" oraz chór „Hutnik". Zespół „Olza" powstał w 1953 roku w czeskim Cieszynie. W ciągu 15-letniej historii swego istnienia zespół wystawił 19 widowisk oraz dwa programy składane, oparte na polskich, czeskich i słowackich tańcach ludowych. Spośród wszystkich zespołów występujących w Rzeszowie uzyskał najwyższą nagrodę.

Wiele z zespołów boryka się z dużymi trudnościami. Odczuwają brak sal, brak dotacji, brak kostiumów. Jednakże wszystkie te braki wyrównują zapałem, wytrwałością i pasją. Najlepiej wiedzie się zespołom z Czechosłowacji i Węgier. Jest wśród nich wielu uczniów i studentów. W zespołach krajów zachodnich przeważali robotnicy lub dzieci robotników — potomkowie emigracyjnej biedoty. Ich ojców wygnała z kraju nędza, bezrobocie, brak chleba. Dla współczesnego pokolenia Polaków brzmi to niewątpliwie jak bajka o żelaznym wilku. Niestety, taka jest prawda. Rzeszowskie było najuboższe. Rocznie emigrowało za chlebem z tego regionu kilkanaście tysięcy ludzi. Nie ma w tym województwie rodziny, która by nie miała kogoś za granicą. Dlatego właśnie Światowy Festiwal Polonijnych Zespołów Artystycznych odbywał się właśnie tutaj. Za pięć lat odbędzie się drugi.

KAROL BADZIAK

JAN BADURA

Młodzież robotnicza w łódzkim przemyśle włókienniczym

Kilka tygodni temu ukazała się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego praca badawcza Józefa Marczaka*), w której czytelnik odnajdzie możliwie szeroki wgląd w problematykę związaną z kształceniem i wchodzeniem do zawodu włókniarskiego łódzkiej młodzieży. Autor podjął się niełatwej próby (brak materiałów porównawczych, chęć możliwie szerokiego potraktowania problematyki badawczej) usystematyzowania faktów składających się na proces kształcenia młodzieży włókniarskiej, ukazania złożonej problematyki startu zawodowego i wreszcie zainteresowań i dążeń kulturalnych oraz aktywności społecznej najmłodszych pracowników przemysłu włókienniczego Łodzi.

Badaniami, które zostały zapoczątkowane w 1959 r., objęto 850 młodych włókniarek i włókniarzy z czterech łódzkich zakładów pracy, wchodzących do zawodu dwoma torami:

— przez krótkoterminowe przysposobienie zawodowe,

— przez zasadniczą szkołę przyzakładową.

Próbę ukazania funkcji szkół przyzakładowych podjął autor w oparciu o materiał z 675 wywiadów z uczniami szkoły przyzakładowej oraz opinie dyrektorów i personelu kierowniczego tych zakładów, przy których szkoły te istniały.

Poddanie analizie badawczej dwutorowości wchodzenia do zawodu, służyć miało uchwyceniu różnic w efektywności przygotowywania młodzieży do zawodu tymi dwoma sposobami — ale nie tylko. Autor przyjmuje bowiem szerokie rozumienie procesu wychowawczego, uwzględniające oddziaływanie rodziny, szkoły, środowiska pracy, placówek kulturalno-oświatowych, środków masowego przekazu, stosunków międzyludzkich — jako czynników współwyznaczających mniej lub bardziej pomyślny rozwój osobowości człowieka.

Tak szerokie ujęcie problematyki było konieczne przy uwzględnieniu z jednej strony dyrektyw metodologicznych pedagogiki społecznej, jak również wobec wymogów stawianych przygotowaniu jak najlepszych kadr robotników kwalifikowanych dla unowocześniającej się produkcji. W tym świetle w pełni przekonywająca wydaje się konkluzja autora, że współczesnym zadaniom kształcenia zawodowego kwalifikowanych kadr włókniarskich, podołać mogą przede wszystkim szkoły przyzakładowe. Przemawiają za tym następujące dane:

— spośród absolwentów szkół przyzakładowych bezpośrednio po podjęciu pracy normę wykonywało 78 proc. chłopców i 84 proc. dziewcząt — w grupie zaś przyuczonych wyniki takie osiągano dopiero po upływie roku, (str. 100).

— spośród 204 absolwentów objętych badaniami, 52 proc. wyraziło zamiar dalszego kształcenia się — z tego 43 proc. w kierunku włókienniczym, (str. 104),

— intensywność i różnorodność form aktywności społeczno-kulturalnej w czasie wolnym też korzystniej wypada dla grupy pierwszej, (str. 130—131).

Zaprezentowane przez autora materiały wskazują jednak również i na wiele niedociągnięć w funkcjonowaniu tej formy kształcenia. Należą do nich — niekorzystne proporcje programowe pomiędzy przedmiotami ogólnymi i zawodowymi (na niekorzyść tych pierwszych), niedociągnięcia organizacyjno-lokalowe i wyposażeniowe szkół, niedostateczne przygotowanie pedagogiczne kadry nauczającej lub w ogóle jego brak, dość poważna liczba młodzieży ucząca się tu wbrew własnym zainteresowaniom (53,4 proc.) i wreszcie poważna część młodzieży, która miała trudności w nauce na szczeblu podstawowym. Te i inne jeszcze niekorzystne czynniki w dostatecznym chyba świetle wskazują na potrzebę podejmowania odpowiednich zabiegów organizacyjnych i wychowawczych, by kadry absolwentów stanowiły w pełni wartościowy narybek włókniarski.

Dużo miejsca w omawianej pracy zajmuje problem tak doniosły, jak prawidłowe wchodzenie do zawodu i wrastanie w środowisko zakładu — od tego przecież w dużym stopniu zależy zarówno efektywność pracy, jak też stabilizacja zawodowa młodzieży. Niebagatelny jest również problem zainteresowań zawodem, które warunkują nie tylko pomyślność procesu kształcenia, lecz także perspektywy stabilizacji zawodowej i dalszego doskonalenia się zawodowego młodych robotników.

W całości praca ta wypełnia poważną lukę w wiedzy o młodzieży w ogóle a młodzieży włókniarskiej w szczególności. Dostarcza wielu cennych spostrzeżeń i wniosków, które mogą służyć pomocą zarówno czynnikom oświatowym, związkowym, kierownictwom zakładów, działaczom organizacji młodzieżowych, jak również organizatorom życia kulturalno-oświatowego młodzieży. Wydawnictwo Łódzkie wzbogaciło swój repertuar o jeszcze jedną cenną pozycję naukową.

*) J. Marczak: „Młodzież robotnicza w łódzkim przemyśle włókienniczym", Wydawnictwo Łódzkie, 1969. str. 168.

KRZYSZTOF POGORZELEC

SKARBY na SPRZEDAŻ

Tygodnik „Polityka" zainicjował ostatnio akcję publicystyczną na rzecz właściwego zabezpieczenia bezcennych skarbów kultury narodowej, które są nielegalnie wywożone za granicę. Popierając tę akcję publikujemy artykuł „Skarby na sprzedaż", który przynosi nowe materiały w sprawie wymagającej natychmiastowego, skutecznego uregulowania prawnego.

Niedawno na łamach warszawskiego „Expressu Wieczornego" ukazało się następujące ogłoszenie: „PANA, KTÓRY POSIADA WIADOMOŚCI O OBRAZACH Z MUZEUM NARODOWEGO, PROSZĘ O SKONTAKTOWANIE SIĘ..."

W kilka dni później, w ślad za tym anonsem, na łamach tegoż samego stołecznego „Expressu", można było znaleźć jeszcze bardziej tajemniczo i dramatycznie brzmiący apel: DO PANA Z. PROSIMY O SKONTAKTOWANIE SIĘ Z MUZEUM NARODOWYM, INSPEKTOREM GRZESIUŁĄ W KOMENDZIE STOŁECZNEJ MO LUB Z REDAKCJĄ. PROSIMY O POMOC W ODZYSKANIU DLA NASZEJ KULTURY BEZCENNYCH DZIEŁ SZTUKI!

* ★ *

Co kryło się za tymi alarmującymi apelami?

Oto do Muzeum Narodowego w Warszawie nadszedł pewnego dnia list. Jakiś anonimowy korespondent — podpisujący się jedną tylko literą „Z" — informował dyrektora Lorentza, iż zna miejsce, w którym od wielu lat ukryta jest bezcenna kolekcja obrazów — dzieł dawnych mistrzów, z lat 1624—1705. List kończył się taką konkluzją: „Szkoda, aby zniszczyły się lub zmurszały". Dodajmy w tym miejscu jeszcze jedną uwagę: wszystkie ukryte obrazy, których tajemnicę przechowuje „pan Z", opatrzone są sygnaturą Muzeum Narodowego i uznane zostały za zaginione w zawierusze ostatniej wojny.

O ile jest nam wiadomo, tajemniczy „pan Z" nie ujawnił dotąd swojego incognito. Skarby całego narodu ciągle nie mogą trafić do prawowitego właściciela — galerii Muzeum Narodowego w Warszawie. Mimo że „panu Z" obiecano nie tylko zachowanie pełnej dyskrecji, ale także wysoką nagrodę.

* * *

Nie zajęlibyśmy się tą sprawą, gdyby nie to, że losy dzieł sztuki znajdujących się w naszym kraju coraz częściej skupiają uwagę nie tylko fachowców — muzealników, historyków sztuki, koneserów malarstwa czy rzeźby, ale najszerszych kręgów społeczeństwa. Nic dziwnego, jesteśmy przecież współwłaścicielami dorobku kulturalnego dziejów, a zamożność narodów mierzy się nie tylko tonami wytopionej surówki czy kilowatami wytworzonej energii elektrycznej, lecz również zasobnością muzeów, galerii i bibliotek...

Powiedzmy sobie szczerze: nie jesteśmy w te dobra zbyt bogaci. Z dziełami polskiej sztuki, zabytkami kultury wyjątkowo barbarzyńsko obchodziła się nad Wisłą historia. W dniu 19 stycznia 1940 roku **Hans Frank**, generalny gubernator, oświadczył:

„15 września 1939 roku poruczono mi objęcie rządów na zdobytych terenach wschodnich, ze specjalnym rozkazem, aby bezwzględnie wyjałowić te tereny jako obszar wojenny i jako łup". Na tym samym zebraniu hitlerowskiej kamaryli Frank powiedział także: **„Trzeba Polakom na przyszłość przełamać kręgosłup".**

Łamano, uderzając w pierwszym rzędzie w polską kulturę.

Rabunek był bezwzględny. Tak na ten temat piszą Ruth i Max Seydewitz w książce „Dama z gronostajem", która ukazała się w Niemieckiej Republice Demokratycznej:

„Na podstawie rozporządzenia generalnego gubernatora dla okupowanych terenów polskich z dnia 16.XII.1939 roku specjalny pełnomocnik do zabezpieczenia dzieł sztuki i dóbr kulturalnych zdołał przejąć w ciągu sześciu miesięcy niemal wszystkie zasoby sztuki w kraju, z jednym wyjątkiem: serii gobelinów flamandzkich z krakowskiego zamku. Według ostatnich wiadomości znajdują się one we Francji, tak że możliwe będzie ich późniejsze zabezpieczenie".

Hitlerowcy dla ułatwienia sobie grabieży sporządzili specjalny spis. Katalog zawierał wybór jakościowy według skali wzorowych muzeów niemieckich. Przede wszystkim uwzględniono w nim sztukę niemiecką oraz wszystko, co posiada rangę w ogólnoeuropejskim rozwoju sztuki.

Ten katalog jest dokumentem hańby.

Po kradzieży ołtarza Wita Stwosza przyszła w całej Polsce kolej na tak metodycznie przeprowadzony, planowo zorganizowany i na szeroką skalę zakrojony rabunek dzieł sztuki i dóbr kultury, o jakim nigdy w historii nie słyszano. W krajach zachodnich, zajętych przez niemiecką armię po pokonaniu Polski, okupanci usiłowali w początkach swej grabieżnej akcji wywołać wrażenie, że chcą odebrać jedynie prywatną własność żydowskim obywatelom. W Polsce zrezygnowali z tego kłamstwa i tutaj — bez względu na stosunki własnościowe — konfiskowali od pierwszego dnia okupacji wszystko, czego pragnęli dla siebie.

Wyszkoleni w rabunku dzieł sztuki fachowcy typu prof. Possego czy Paulsena, szli krok w krok za oddziałami niemieckiej armii. Na wcielonych przemocą do Wielkiej Rzeszy terenach polskich banda Himmlera grabiła wszystkie skarby sztuki. Występowała ona pod firmą „Ahnenerbe" albo też jako Generalne Powiernictwo Wschód przy komisarzu Rzeszy dla umocnienia niemczyzny. W Generalnej Guberni rabunek odbywał się pod kierownictwem sekretarza stanu, dr Kaj Muehlmanna, specjalnego pełnomocnika do zabezpieczenia polskich dóbr sztuki i kultury. Na to stanowisko powołał Muehlmanna Goering. Szefem jego sztabu był dyrektor Ernst, prowadzący organizacyjne i administracyjne prace sonderkommanda.

16 grudnia 1939 roku generalny gubernator Frank wydał zarządzenie o konfiskacie przedmiotów sztuki w Generalnej Guberni. Paragraf 3 postanawiał, że

„należy zgłosić wszystkie prywatne i kościelne zbiory sztuki z dokładnymi danymi, dotyczącymi rodzaju, właściwości oraz liczby przedmiotów. Do zgłoszenia zobowiązany jest każdy, kto takie przedmioty sztuki miał w przechowaniu do 15 marca 1939 roku, kto je nadal ma lub też uprawniony jest do rozporządzania nimi".

Dodano, że w wypadku wątpliwym specjalny pełnomocnik gubernatora ma rozstrzygać, które zbiory należy traktować jako publiczną własność.

Każde zdanie tego zarządzenia jest sprzeczne z artykułami Konwencji Haskiej. Nie bacząc na to, niemieccy fachowcy od spraw sztuki razem z gestapo wdzierali się do polskich muzeów i konfiskowali wszystko, co wyszpiegowali podczas przyjaznych wizyt w Polsce na długo przed rozpoczęciem wojny. Z wykonanymi wówczas fotografiami i notatkami w ręku szli od muzeum do muzeum, od jednego instytutu do drugiego, od jednej placówki kulturalnej do drugiej, nie uszanowali również zbiorów prywatnych, nawiedzali domy, w których podejrzewali istnienie dzieł sztuki.

W Krakowie szczególnie duże straty poniosło Muzeum Czartoryskich. Z samego tylko tego muzeum zabrano 843 eksponaty, między nimi 15 obrazów najwyższej wartości, jak da Vinci „Dama z gronostajem", Rafaela „Portret młodzieńca" i Rembrandta „Pejzaż z miłosiernym Samarytaninem". Pomiędzy dwunastu skradzionymi dywanami znajdował się jeden szczególnie cenny i unikalny dywan perski z XVI wieku. Dalej skonfiskowano 260 przedmiotów artystycznych ze złota, antycznych i z epoki nowszej, klejnoty królów polskich, 375 pamiątkowych monet złotych oraz pokaźną ilość cennych rękopisów. Poważnie ucierpiały też zbiory Barącza i Jasieńskiego, z których ukradziono 13 dzieł malarstwa cechowego i 4 dzieła sztuki średniowiecznej, dalej 85 obrazów polskich malarzy, między nimi M. Gierymskiego „Zima w małym miasteczku", 19 obrazów malarzy obcych, sporą ilość mebli, gemm, kamei, ceramiki i szkła, zegary, dywany, przedmioty cyzelowane z kości słoniowej i metalu oraz 1000 japońskich drzeworytów. Rabunek 16 głównych katalogów z muzeów oznaczał także wielką stratę. Splądrowano Muzeum Narodowe w Krakowie, skarbiec katedralny i zamkowy, tudzież kolekcję hr. A. Potockiego, Bibliotekę Jagiellońską oraz katedrę historii sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W Warszawie zagrabiono dzieła sztuki i dobra kulturalne nie tylko w polskim Muzeum Narodowym, w Muzeum Wojska i Państwowej Mennicy; skonfiskowano również kolekcje prywatne, np. hrabiego Adama Branickiego, Hutten-Czapskich, Krasińskiego, Franciszka Potockiego, Józefa Potockiego oraz Zofii Potockiej, dalej kolekcję księcia J. Radziwiłła, hrabiego Adama Tarnowskiego, Wittiga i Jana Rykaczewskiego, splądrowano Zamek Królewski oraz letnią rezydencję dawnych królów polskich, a także Pałac Łazienkowski.

Nie tylko jednak w Krakowie i Warszawie, również w innych miejscowościach polskich grabiono zbiory prywatne. W Suchej zrabowano kolekcję hrabiego Juliusza Tarnowskiego, w Wilanowie zbiory hrabiego Branickiego, w zamku nieborowskim księcia Radziwiłła, w Pełczynie prywatną kolekcję Czartoryskich, w Łańcucie zbiory hrabiego Alfreda Potockiego, w Dukli hrabiego Tarnowskiego, w Jabłonnej hrabiego Maurycego Potockiego.

Ogółem tylko w tej pierwszej fazie akcji konfiskacyjnej zrabowano i odtransportowano wybitne dzieła sztuki, określone jako pierwszej jakości z 45 miejsc, poświęconych kulturze i sztuce.

Grabież rwała.

* ★ *

W roku 1947 Biuro Odszkodowań Wojennych przy Prezydium Rady Ministrów RP oszacowało straty w dziedzinie kultury i sztuki na łączną kwotę 5 miliardów 365 milionów, licząc według złotych przedwojennych.

Kataklizm został podsumowany przez księgowych. Straty pozostały. Tak, bo bardzo, bardzo wiele z tych dzieł nigdy już nie miało wrócić do muzeów i galerii narodowych.

Tutaj pozwolimy sobie jednak na pewną dygresję. Do zubożenia naszego wspólnego majątku kulturalnego przyczyniła się nie tylko ostatnia zawierucha wojenna, lecz także sobiepański, nieobywatelski stosunek ówczesnych posiadaczy arcydzieł. W roku 1911 sprzedano do Wiednia XVI-wieczny obraz Cranacha, w roku 1926 licytacja zbiorów zgromadzonych przez ród Sapiechów pozbawiła nas takich dzieł jak „Portret kobiecy" Sebastiana del Piombo oraz „Piękna Wenecjanka" pędzla Duerera. Sięgnijmy zresztą do wydarzeń świeższej daty. Jest rok 1944. Alfred Potocki, pan na Łańcucie, wywiózł z Polski pod ochroną SS, zabytkowe meble, wiele cennych płócien i rzeźb, a także okazy wyrobów z porcelany najstarszych polskich manufaktur, m. in. okazy porcelany ze znakiem manufaktury w Korcu — rarytas na skalę światową. W dwa lata później, inny Potocki — Andrzej usiłował przemycić z kraju 19 skrzyń wypełnionych po brzegi dziełami i zabytkami polskiej sztuki najwyższej rangi. Zresztą, czy trzeba sięgać po nazwiska sławnych rodów, by uzyskać rozmiar poniesionych strat, które nie mogą być już spisane na konto wojny i okupanta? A los wielu ikon z cerkiewek bieszczadzkich, okazów sztuki sakralnej, przemyt monet...

Można by się spodziewać, że tak wszechstronnie ograbieni będziemy szczególnie czuli na los przedmiotów stanowiących dorobek naszej kultury, że postawiona będzie sztuczna tama, która zahamuje przemyt, dalsze zubożenie skarbnicy polskiej sztuki. Niestety, przepisy wydane z myślą o tym właśnie, tuż po zakończeniu wojny były bardzo nieprecyzyjne, zostawiały wiele furtek dla spryciarzy różnego autoramentu. Zmieniono je: w roku 1962 wprowadzono nowe. Precyzują one m. in. obowiązki, jakim podlegają właściciele prywatnych kolekcji dzieł sztuki oraz instytucje powołane z urzędu do ochrony naszego dorobku kulturalnego.

Może więc teraz należało by postawić kropkę, uznać sprawę za zamkniętą?

Niestety...

* ★ *

Od lat nie jest dla fachowców tajemnicą, że Polska jest przedmiotem bardzo dużego zainteresowania zagranicznych speców od handlu dziełami sztuki. Dodajmy — „speców", którzy niejednokrotnie byli już odnotowywani przez polskie władze celne bądź graniczne za nieudane na szczęście sztuczki, których celem było przemycenie wybitnych dzieł o wartości wprost nieoszacowanej

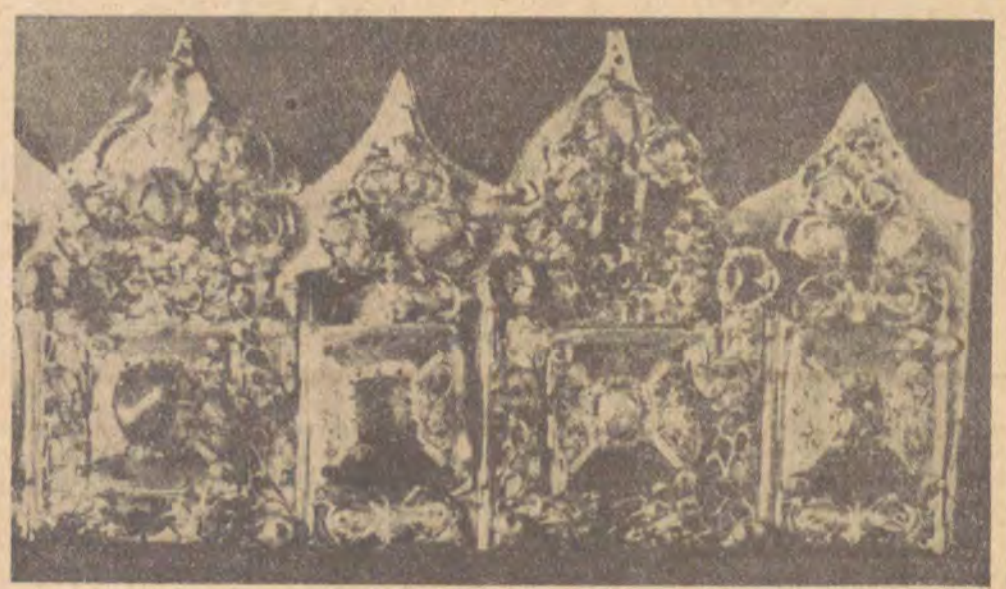

Złoty Krzyż ze szlachetnymi kamieniami

Dalszy ciąg ze str. 1

Dlaczego wojna

liancką ofensywę na szerokim froncie. Niestety, nic z tego nie wyszło. Głównie z tego powodu, że rządy w Paryżu i Londynie nie potrafiły uzgodnić wspólnej akcji, ani nawet sprecyzować swych stanowisk w tej sprawie. Angielski sztab nie był informowany o zamierzeniach Francuzów, zaś Francuzi nie mieli zielonego pojęcia co planują Anglicy. Tymczasem Polacy zwracali się z coraz głośniejszymi apelami o zapewnienie im przyrzeczonej pomocy. Aby choć częściowo zachować twarz, Londyn zaczął ponaglać Paryż o podjęcie ofensywnych kroków. Paryż domagał się tego samego od Londynu. Ale już 6 września dowództwo armii francuskiej dało do zrozumienia, że ofensywa nie nastąpi. Sugerowano, by z pomocą walczącym Polakom przyszły brytyjskie samoloty i zbombardowały z powietrza prące na Wschód kolumny hitlerowskich czołgów. Dowództwo „Royal Air Force" odpowiedziało. — Nie, to wykluczone, „Bomber Command" jest inwestycją zbyt kosztowną, by nasze bombowce narażać na szwank już w pierwszym okresie wojny...

Angielski historyk konkluduje:

„I w ten sposób artykuł pierwszy paktu o wzajemnej pomocy, podpisanego przez aliantów z Polską 4 września 1939 roku, pozostał tylko świstkiem papieru i niespełnioną obietnicą".

Kimche daje do zrozumienia, że zawiodło nie tylko brytyjskie lotnictwo, ale przede wszystkim zawiódł francuski generalissimus Maurice Gamelin. Nazywa Gamelina dwulicowcem, który wiele Polakom obiecywał, ale nigdy nie miał zamiaru słowa dotrzymać. Szczytem obłudy i fałszu określa Kimche osobisty list Gamelina przesłany 10 września 1939 roku polskiemu attache wojskowemu w Paryżu. W tym poufnym dokumencie Gamelin rozwodził się nad rzekomymi atakami wojsk francuskich na niemieckie pozycje, donosił o zaciętych bojach w północno-wschodnim rejonie frontu, informował nawet rząd polski o potężnych nalotach francuskiego lotnictwa... Wszystko same bzdury i kłamstwa. W rzeczywistości armia francuska stała przez cały wrzesień z bronią u nogi.

Był to „Sitzkrieg", jak mówią Niemcy, albo „drole de guerre", jak tę dziwną wojnę określili sami Francuzi.

Prawym brzegiem Renu codziennie przejeżdżały setki niemieckich ciężarówek i bez końca sunęły naładowane sprzętem pociągi. W odległości dosłownie 500 metrów od tego brzegu stali francuscy żołnierze i nie robili nic. Nie oddali do Niemców ani jednego strzału. Stali i czekali. A polska armia krwawiła, aż całkowicie wykrwawiona i rozbita musiała zaprzestać samotnej i beznadziejnej walki. Jon Kimche określa ten okres drugiej wojny światowej jako „polnische tragoedie", dodając przy tym, że była to również tragedia całej Europy. Bo gdyby wojska alianckie przystąpiły do ofensywy w momencie gdy „kwiat" hitlerowskiej armii walczył przeciw Polakom, wówczas można było zakończyć wojnę już w 1939 roku.

Kimche przypuszcza, że brak zaufania i rzetelnej współpracy między Londynem a Paryżem to jedna z przyczyn przedłużającej się wojny. Drugą, nie mniej ważną była słabość alianckiej służby wywiadowczej. Nie doceniano własnych sił i możliwości. Przeceniano siły przeciwnika. Zawiódł brytyjski „Secret Service", zawiodło też całkowicie francuskie „Deuxieme Bureau". Dostarczane przez wywiad informacje raczej utwierdzały alianckie rządy w przekonaniu, że hitlerowskie armie zbyt są na to silne, by można je było zaatakować bez ryzyka po-

Insygnia koronacyjne Augusta III

dla społeczeństwa. Panu Kozłowskiemu z NRF i Klevenowi z Holandii nie udało się, ale czy graniczne sito jest dosyć gęste?

Raz po raz dowiadujemy się, że na wielkich aukcjach dzieł sztuki w Londynie, Paryżu, Monachium czy Wiedniu idą pod młotek okazy o wartości wprost nieoszacowanej dla polskiej kultury. Rękopisy Chopina, dukaty koronacyjne, piękne egzemplarze starodawnej broni i zbroi, obrazy pędzla dawnych mistrzów. No i oczywiście stare malowidła na drewnie — owe złote, okopcone ikony, świątki bezlitośnie wyprute z przydrożnych, górskich kapliczek, dzieła bezimiennych wprawdzie, ale jakże cenionych mistrzów.

Niedawno jedna łódzka sprawa znalazła swój finał na sądowej wokandzie: u niejakiego P., mieszkańca Łodzi, organa MO znalazły prawdziwą kolekcję najwspanialszych zabytków kultury i sztuki o nieoszacowanej wprost wartości. Obok wielu obrazów polskich mistrzów, znajdowały się zabytkowe monety, medale, m. in. unikat — medal srebrny Jana Sobieskiego, talar koronacyjny z roku 1573, płótna pędzla Michałowskiego, Strzemińskiego, 257 medali, tzw. dwudukatówki z roku 1663, obrazy Podkowińskiego i wiele, wiele innych dzieł sztuki, które mogłyby być prawdziwymi ozdobami nawet najwspanialej wyposażonego muzeum. Pasja zbieractwa jest pasją szlachetną i nie można jej ganić. Ale inna już całkiem sprawa, gdy idzie w parze z nielegalnym handlem, a bardzo wiele faktów uchwyconych przez MO wskazuje, iż sporo z tych skarbów polskiej sztuki za pośrednictwem cudzoziemców bawiących w Polsce trafiło do rąk zagranicznych kolekcjonerów lub handlarzy i dziś zdobią one np. zbiory rodziny Rotschildów.

Sieć tylko w części okazała się niezawodną.

* ★ *

Coraz głośniej mówi się o tym, że placówki, które w założeniu powinny stanowić czynnik wzbogacający zasobność polskiej kultury — sklepy „Desy", stały się najzwyklejszymi placówkami handlowymi, gdzie tak samo obowiązuje plan obrotu, premie uzależnione są od utargu itd. itp. Faktycznie są to handlowe magazyny robiące wcale niezły interes na kulturze. Ciekawym i wiele przecież mówiącym faktem jest, że w tych właśnie placówkach „Desy" jakże częstymi gośćmi, faktycznie — klientami, są cudzoziemcy, chociaż przepisy bardzo ograniczają możliwość sprzedaży dzieł sztuki obcokrajowcom. Ale od czego pomysłowość naszych rodaków? Nie może kupić danego przedmiotu cudzoziemiec, ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, by dla spełnienia formalności zastąpił go w sklepie tuziemiec legitymujący się paszportem PRL. „Desa" przede wszystkim handluje. Dlatego też tak opieszale dopełnia prawnego obowiązku rejestracji dzieł u konserwatorów wojewódzkich, wszak przedmiot, który w ciągu 6 miesięcy nie znalazł chętnych wśród przedstawicieli krajowych muzeów — idzie do handlu! To obrót wyrażony w złotówkach wieńczy dzieło! Faktem jest także bezspornym i to, że nasi prawodawcy nie cierpią na nadmiar wyobraźni. Np. ograniczenia wywozowe za granicę są niezwykle tolerancyjne dla dzieł twórców z czasów nam bliższych. Tak więc jesteśmy np „eksporterami" na dużą skalę wyrobów artystycznych z okresu secesji. Jakoś nie żałujemy ich, choć są one bardzo w cenie i — ciągle „idą w górę". Czyżby było ich w Polsce za dużo, a my za bogaci?

ANDRZEJ KROLIKOWSKI

MUZYCZKA MASOWA

Zjawisko, które pozwoliłem sobie określić mianem „muzyczki masowej", powstało u schyłku lat pięćdziesiątych. Dość precyzyjne umieszczenie w czasie rosnącego zainteresowania piosenką możliwe jest naturalnie tylko w odniesieniu do naszego kraju, gdzie indziej bowiem procesy lansowania bożyszcz, propagowania przebojów i powstawania przemysłu rozrywkowego przebiegały przez dziesiątki lat, miały długie tradycje i wytworzyły w rezultacie specyficzne, rządzące się prawami businessu formy pop-kultury. Inaczej, jako się rzekło, rzecz wyglądała u nas. W latach 1950—1958 przeciętny Polak-meloman miał do wyboru słuchanie albo masowej pieśni — sztandaru, sławiącej „na lewo most, na prawo most", ckliwo-sentymentalnych peanów na cześć „siwego włosa", albo wreszcie mógł dzięki pośrednictwu fal eteru ulec zalewowi standardowego modelu „bestsellerowej" piosenki model San Remo, Tin Pan Alley czy Broadway. Zbliżające się narodziny polskiej popularnej piosenki współczesnej, a właściwe nowoczesnej w formie, zastawały zarówno naszego słuchacza, jak i wykonawcę — nie mówiąc już o twórcy i organizatorze pierwszych szczątkowych jeszcze form organizacji produkcji (bo przecież nagranie na taśmie, utrwalenie na płycie współczesnej piosenki jest skomplikowanym procesem produkcyjnym), zastały więc wszystkich nie przygotowanych. Pierwsze oszałamiające sukcesy i popularność zespołów gitar elektrycznych wykazały istniejące zapotrzebowanie na polską piosenkę, a jednocześnie prymitywne melodie, teksty i wykonawstwo „malowanej lali" oraz innych przebojów tego okresu wykazały, że poza dobrymi chęciami nie dysponujemy niczym, co mogłoby postawić naszą piosenkę w rzędzie takich potentatów interpretacyjnych, produkcyjno-technicznych i wreszcie finansowych, jak np. Wielka Brytania, Francja czy Włochy. Nie bez kozery potrącam tu nutę merkantylną. Warto bowiem pamiętać, że eksportowana za granicę piosenka, to dewizy, to dochodowy przemysł niejednokrotnie rentowniejszy od przemysłu samochodowego, górnictwa lub eksportu szynki.

Jeśli wspomniałem o latach 50, to dlatego, że one to właśnie rozpoczynają rozśpiewanie naszej młodzieży, i że wówczas nieśmiało zaczęliśmy kwestionować zakorzenione twierdzenie stawiające Polaków w rzędzie ludzi upośledzonych słuchowo. Wtedy także pojawiło się niebezpieczeństwo powstania jeszcze jednego gatunku szmiry — tym razem szmiry muzycznej. Naturalnie klasyfikowanie całego ówczesnego dorobku polskiej piosenki w sposób tak jednoznaczny byłoby absurdem. Wśród kompozycji i tekstów chybionych były też wartościowe, a te nie najlepsze warsztatowo, tchnęły autentycznym zaangażowaniem, wykazywały zapał autorów. Patrząc z perspektywy czasu utwory te możemy chyba rozgrzeszyć także debiutancką nieporadnością. Piosenki te jednak i cały okres raczkowania gatunku muzycznego, umownie określonego później mianem „big-beatu", tworzyły podwaliny funkcjonowania naszego polskiego, dość specyficznego światka muzyki rozrywkowej, który owocnie działa do dzisiaj zaskakując nas czasami arcydziełkami, częściej zaś wywołując zgrozę i oburzenie. Światka, który rządzi się własnymi, na dobrą sprawę przez nikogo nie usankcjonowanymi przepisami, światka, nad którym nie istnieje żadna — twierdzę to z całym poczuciem odpowiedzialności — praktycznie kontrola. Rezultaty wszyscy znamy: ambitni i utalentowani — Ewa Demarczyk, Wojciech Młynarski, Skaldowie nie zejdą poniżej pewnego, przeważnie bardzo wysokiego poziomu. Wielu innych, nie zawsze ze złej woli, częściej z braku odpowiedniego wykształcenia, braku dobrego smaku, wreszcie w pogoni za popularnością, raczy nas czasami takimi dziełami, że rymowana przypowieść „o Stachu, który poleciał po flachę, podczas gdy Józia smażyła kiełbachę" wydaje się być szczytem wykwintu literackiego.

Co gorsza pewne okresowe mody otwierają zielone światło, sugerują pewnemu gatunkowi pseudo-profesjonalnych twórców zalewania rynku np. „piosenkami zaangażowanymi społecznie" sankcjonując w ich własnym przekonaniu lansowanie banałów pod byle jakim, ale brzmiącym patriotycznie pretekstem. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie wyznaję zasady, że w piosence można mówić tylko o miłości. Ale z dwojga złego wolę gdy mówi się czy wyśpiewuje komunały na taki właśnie temat, niż w landrynkowo - częstochowskich rymach opiewa się bohaterstwo naszych ojców, lub pseudo-filozofuje o nierówności społecznej „na dziwnym świecie". Dodając przy tym odkrywczo, że „na betonie kwiaty nie rosną". Budzi to we mnie wewnętrzny sprzeciw, uważam, że takie traktowanie tematu ma posmak antypropagandy, a przeciętny bezkrytyczny słuchacz narażony jest na wchłanianie szmiry.

Niedawno rozmawiałem z jednym z najgłośniejszych i najpopularniejszych w Polsce muzyków młodzieżowych. Zapytałem co jest podstawą, warunkiem osiągnięcia wysokiej klasy? Naiwny, oczekiwałem, że wzorem swych zachodnich idoli odpowie: praca, nauka, ćwiczenie. Bożyszcze odparło spokojnie: sprzęt, proszę pana. I był zdziwiony, że ja jestem zdziwiony. Próbowałem wytłumaczyć, że na najlepszej nawet gitarze wzmocnionej aparaturą „Fendera" do 250 fajerek i 500 watów nie zagrałbym niczego, co mogłoby być zbliżone do muzyki. Nie był przekonany. Sam w końcu zacząłem nabierać wiary, że może do gry nie trzeba umiejętności. Może bez nich można zostać gwiazdą i okrzyknąć się np. prekursorem muzycznej elektrycznej awangardy.

Żarty na bok. Gdzieś w tym rozumowaniu — jakże popularnym wśród słuchaczy i muzyków — kryje się zalążek niebezpieczeństwa zwanego szmirą. To potencjalne niebezpieczeństwo czyha w produkcjach zespołów amatorskich działających na zasadzie bezkrytycznego naśladowania, kopiowania rzeczy najłatwiejszych — prymitywu muzycznego i bezsensownych rymowanek. Zespołów, które bardzo często dzięki różnym zbiegom okoliczności, albo skomplikowanym zabiegom ludzi w światku muzyczki masowej zorientowanych zaczynają robić tzw. karierę zawodową i lansować ten sam prymityw, który kiedyś był dla nich wzorem. Wczoraj wpadali w ekstatyczne ogłupienie podczas koncertu np. w Pałacu Sportowym, a dzisiaj z tej samej estrady prowokują do podrygów swoich rówieśników. Kółko zaczyna się zamykać. Muzyczka masowa niczym legendarne perpetuum mobile zaczyna kręcić się samo. Z tą różnicą, że maszyna samonapędzająca się istnieje w wyobraźni maniaków.

— A muzyczka masowa niestety jest i gra.

trwała 5 lat?

niesienia wielkiej klęski. To notoryczne przecenianie niemieckiego potencjału wojennego sprawiło, że do ostatniej niemal chwili, jeszcze w 1945 roku wierzono na Zachodzie w istnienie jakiegoś Atlantyckiego Wału i „Festung Europa", a nawet wierzono w istnienie mitycznej poniekąd „Alpenfestung", sądzono, że gdzieś tam w wysokich Alpach Hitler zbudował ze stali, betonu i litej skały twierdzę nie do zdobycia.

Angielski historyk tak kończy:

„Wojska alianckie mogły zakończyć wojnę już w 1939 roku. Uległy jednak psychologicznej presji wroga, albo jak to dzisiaj mówimy, przegrały wojnę psychologiczną już w pierwszych tygodniach pamiętnego roku. Niewiara we własne siły, przecenianie możliwości hitlerowskiej armii, oto tajemnica niepojętego przecież faktu, że druga wojna światowa mogła się ciągnąć przez 5 długich lat, choć Niemcy zmuszeni byli do prowadzenia jej nie na jednym czy dwóch, ale na kilku frontach równocześnie".

Ten pogląd, choć z całą pewnością dyskusyjny, zasługuje na baczną uwagę.

W lipcowym dodatku literackim „Frankfurter Allgemeine Zeitung" ukazał się w pewnym sensie wspomnieniowy reportaż Eberharda Schulze — „Sommer in der Normandie" — Lato w Normandii. Nie było to jednak zwykłe lato, lecz początek alianckiej inwazji 1944 roku. Schulze wspomina:

„W obozie Tessy niedaleko St. Lo znajdowało się około dwustu Amerykanów wziętych do niewoli w pierwszych dniach inwazji. Wszyscy chłop w chłopa, same dryblasy. O żołnierzach niemieckich wyrażali się z przekąsem i ironią: — Myśleliśmy, że to będą blond-tytani, tymczasem ujrzeliśmy przed sobą grupki niskich, wychudzonych i raczej ciemnych osobników. Myśleliśmy, że to będą twardzi boys, których nie tak łatwo złamać, tymczasem oni wcale nie mieli bohaterskiego wyglądu i miękli, jak tylko ich kto poczęstował papierosem. Tacy to byli bohaterzy, że odebrali nam potem nie tylko papierosy, ale i zegarki".

Schulze uzupełnia:

„Podczas ostatniej wojny ukształtowała się dziwna legenda o „Siegfriedssoldaten", o niezwyciężonych żołnierzach Zygfryda. Ta legenda trwała długo. To ona spowodowała, że wojska amerykańskie zatrzymały się jesienią 1944 roku przed „Westwall", wskutek czego wojna w sposób zaiste bezsensowny przedłużyła się o dalsze pół roku"...

Niezwyciężony Zygfryd z Nibelungów.

Twarzom tych bohaterskich Zygfrydów można się dokładnie przyjrzeć na okładce wydanego w NRD albumu „Der zweite Weltkrieg". Album jest zresztą od pewnego czasu w sprzedaży w łódzkich księgarniach. Wskutek działania mitu i legendy, wskutek kunktatorstwa mocarstw zachodnich, które z otwarciem drugiego frontu zwlekały do samego końca, wskutek zdrady i szantażu, kilka milionów „Siegfriedssoldaten", gotowych do wypełnienia każdego rozkazu, terroryzowało całą prawie Europę przez kilka długich lat. Jon Kimche usiłuje ten przedziwny i smutny fakt jakoś wytłumaczyć. Czy mu się to udało?

JAN BĄBIŃSKI

ZOFIA TARNOWSKA

Nowe uczucie

Była noc. Z okna trzeciego piętra mojego domu widziałam mieszkania kamienicy z przeciwka. Na tle zasłon w ich oknach, jak w teatrze cieni ruszały się sylwetki ludzkie. Te mieszkania żyły. Moje było martwe. Byłam sama. Cały wieczór, dziesiątki wieczorów i nocy. Jednakowe jak paciorki różańca. Nie, właściwie nie byłam sama. Niedługo miało się urodzić moje dziecko. I był ze mną niepokój graniczący z przerażeniem. Ale nie dziecko było jego powodem.

Z ulicy dochodził szmer samochodowych kół. Ktoś wracał taksówką. Wóz pomknął dalej. Znaczyło to, że człowiek, na którego czekałam, jeszcze nie wróci. Nadsłuchiwałam w ciszy, a ona nabrzmiewała jazgotem nieokreślonych dźwięków. Łowiłam stłumiony przez odległość łoskot nadjeżdżającego tramwaju. Wóz silnikowy manewrował, zmieniał kierunek, zabierał wagon i wracał do miasta. Stukot kół milkł, pozostawała wielka cisza. W tej ciszy narastał rytm kroków. Często załamywał się przed bramą naszego domu. Serce waliło mi wówczas jak opętane. Nie wiedziałam, jakim wróci człowiek, na którego czekałam.

Czasami silnik samochodu cichł przed naszą bramą. wówczas w wyciszonym domu grało to samo kołatanie serca, a przysięgłabym, że dwóch serc. Może ten samochód przywiózł człowieka, na którego czekałam... Trzask bramy, kroki na schodach... Kładłam się szybko do łóżka. Udawałam, że śpię, że nic się nie stało. Jestem po to, by czekać. Skąd te śmieszne pretensje o wspólne wieczory? O rozmowy na temat jeszcze nie zrodzonego. Nie będzie łez i błagań o ciepłe słowa, współczujące gesty. Nie będzie wyczekiwania na odruchy uczucia. Uczucie. Wielka miłość we mnie wywoływała ów przeklęty niepokój, który nie pozwalał zasnąć lub budził nagle z drętwoty drzemki, kazał krążyć po klatce mieszkania wzdłuż i wszerz, liczyć kroki, minuty... To uczucie odrywało oczy od książki, kazało spojrzeniu błądzić po ścianach, gonić smugi światła w czarnym korytarzu ulicy, myśleć aż do utraty poczytalności...

Śmiech i gniew był odpowiedzią na łzy i błagania. Służebny dodatek w życiu mężczyzny, automat o kształtach kobiety nie powinien czuć nic więcej niż to, czego życzył sobie On.

Trzeba było udawać, że się w to wierzy. Co noc i co dzień silniej. Obok mnie leżało dziecko. Krzykiem protestowało przeciwko mojemu niepokojowi, a może ono też czekało? Wtedy inaczej zaczęłam patrzeć na człowieka, który w drugim pokoju chronił rangę ojcostwa uświęcaną coraz większą ilością toastów. Jakże był spokojny i bezpieczny, nabrzmiały pewnością siebie. Ptasznik. Zamknął w klatce ptaka.

To trwało długo...

Wreszcie... Pewnego wieczoru, kiedy noc nie przyszła jeszcze straszyć, zasnęłam. Gdy obudziłam się, niepokój został daleko. Może na odległym przystanku tramwajowym, może w odgłosie chwiejnych kroków u bramy.

Ze snu wstawało ze mną nowe uczucie. Najgorsze, jakie znam: obojętność...

Rys. M. Kapuścińska

MAREK WAWRZKIEWICZ

ONA

I.

Z pękającego ziarna poprzez grudy ziemi
W deszcz co przenika zieloność ozimin
Z wiatru z rybitwy kiedy nagle marszczy
Miękkie płachty jezior w zagajnikach łozin

Z ostudzenia wierzb nad płytkim rowem
W tym pyle zawiesistym rozłożystym perzu
Z korzenia świerku kiedy drąży piach
Kiedy go winny zapach runa mroczy

Z najbielszej chmury na powolnym niebie
Skąd nas wygnały ptaki ostrodziobe
Ze słonych kropel z morza z piachów sypkich
Które nam lato na twarzy układa

Z pienistych wodospadów z mrocznego podziemia
Zewsząd skąd jesteś skąd się urodziłaś
Gdzie nam ciebie zasiano gdzie zakiełkowało
Gdzie rośniesz w nas gdzie nas szorstko drążysz

Tak bardzo własna że nie sposób oddać
Tak bardzo wspólna że nic nie wydzielisz
Gdzie wyrastasz z nas drzewem szumisz gęstym liściem

Jesteś
Rzadko nazwana
Najczęściej obecna

II.

Oto budzi się Wszechobecna
Polatuje ptakiem

Jeszcze sennym i jeszcze nie obmytym w wietrze
Drobną falą szeleści
Wąską strugą w piach wbiega
Z kropel rosy otrząsa zielone igliwia
Budzi się lotem trzmiela i śpiewaniem świerszcza
Pierwszy ruch barwa pierwsza

Powracają ludzie

Do swoich gniazd ciepłych opuszczonych nocą
Kiedy ich trakt podróżny pociągnął
Teraz powracają
W poranną krzątaninę W dobre głosy matek
W miękkie dotyki dzieci
W płytki dzienny sen
Druga barwa i kolor
Różnobarwne morze

Wływa w wąwozy miast biegnie wiejską miedzą
I gwar szumny narasta tam gdzie rośnie chleb
Gdzie chleb się wypieka

A potem nas południa zatopią w upale
I pobiegną dziewczyny po ogromnych plażach
Zerwie się letnia burza Lub ulewa spadnie
Promieniejąco jasna
Lub w piwnicznym chłodzie

Starych krużganków przechodzić będziemy
Piastując w sobie kroplę zadumania
Zwróceni w pamięć nieruchomą twarzą

A ostatnią barwą jest lipowa woń
Ta która ciężko spływa na schylone głowy
Na płoche włosy kobiet
Na szepty wiosenne
Na pogłosy kroków w uśpionych uliczkach

Dzień dobry i dobranoc
Tyle ciebie w nas

Co ciebie w całym dookolnym świecie
Jesteś jak przedmiot który ludzka ręka
Opuszcza tylko wówczas kiedy już zmartwieje
Nieobjęta Objęta
Obecna w śnie
Obecna w bycie białym
Zawsze Wszechobecna

III.

Więc jeśli cię pojąć to może przez ziarno
Które ziemia odradza aby nie umarło

Jeżeli cię zrozumieć to może przez pamięć
Raz ulotną i kruchą raz ciężką jak kamień

Więc jeśli dojść do ciebie to może w skupieniu
Długim jak całe życie albo oka mgnienie

Jeżeli poczuć ciebie to może przez dotyk
Czujny jak deszcz na brzozie przed wiatru przelotem

Więc jeśli cię powiedzieć to pewnie nie słowem
To powiedzieć cię ziemią a określić morzem

Jeśli coś ci wyznać to milczenie powie
Żeś jest droższa od życia i milsza niż zdrowie

Więc jeżeli być w tobie to ty jesteś w nas
I wszystkie czasy niesie nasz rosnący czas

Lipiec, 1969 r.

JAN JANISZEWSKI

Końskie opowieści

MŁYNARSKI

Kupiec, handlarz, znawca to za mało. Młynarski był koniarzem. Kupował, sprzedawał, zamieniał źrebaki, sprzedawał, wałachy na ogiery, kucyki na hackneye, wierzchowce na klusaki... Znali go proboszczowie, chłopi, dziedzice, dorożkarze w okolicach Sobkowa, Jędrzejowa, Chęcin, bywał nawet w trzeciej klasie u Smoleńskiego (reprezentacyjna cukiernia międzywojennego Klerykowa).

Potencjalnego klienta najpierw intrygował: — Mam, ale już płaczę. Ja go nie puszczę, niech zbankretuję, to nie kuń to coś.

Pełnię kunsztu języka rozwijał na jarmarkach. A czy w ogóle mógł odbyć się jarmark koński bez Młynarskiego?

— Wojciechu, Wojciechu, to kuń do stroju i do gnoju. Dawać, ja go przeprowadzę...

Wtedy najpodlejszy śrup ruszał się w stępie, kłusie i galopie, jak folblut na paddocku służewieckim.

— Trzymać go, trzymać go, na jego kłus trzeba siły byka dziedzica opatowskiego... Stal nie pęcina... Lokomobila to cep na jego fajer. Dawać samochód — na wyścigi...

A kiedy Wojciech skrobał się po głowie, medytował, Młynarski rzucał czapkę o ziemię i krzyczał:

— A niech go cholera! Nie pójdzie w chłopskie drabiny — pójdzie do hrabiny. Jaśnie pani z Kwiliny weźmie go w pojedynkę do karety...

Kupując zaś konia, Młynarski dziwił się:

— Dla kogo ten kucyk? Mnie potrzeba kunia do roboty. Dajcie drąg na podpórkę. Gdzie on ma nogi? Już widzę jak spada na przednie i tylnie... Stracę majątek na weteryniarzy... Ile chcecie? Sto złotych i ostatnie słowo honoru. Cooo? Żeby nie ta maść... Jak ja lubię kasztany! Sto dwadzieścia... Po co ja przyjechałem na ten jarmark? Sto trzydzieści i dawajcie powróz... Już się idę wieszać...

WACHMISTRZ

— Pięty, pięty... pozdejmuję ostrogi... A łydka? Kolana są też, jeśli o wiele się nie mylę, częścią składową podchorążego... Wodze... wodze... To nie lejce. Kluuusem... maaarsz... To ma być kłus? Stęęępem... maaarsz... Step też jest chodem. A może to pogrzeb? Brudny kasztan nie caplować! Nie szarpać! To nie spacer po Ogrodzie Botanicznym... Stóóój... Dowolnie z koni! Dowolnie nie znaczy — groch o ścianę... Na koń! Z koni! Na koń! Z koni! Dobrze było!

— Ku chwale ojczyzny, panie waaaachmistrzu! — ryknął pluton jak jeden mąż.

W jakiś czas później ożywione rozmowy toczyły się w stajni. Pogwarki przerwało wejście pana wachmistrza.

— Jeśli o wiele się nie mylę, stajnia to nie ka...

— Syno — dokończyłem.

— Tak jest, dobrze mówicie, ale tabliczka nad Dumą czy...

— Sta — i tym razem uzupełniłem słowo szefa.

— Tak, czysta... kalikatura. Fabryka Wedla spaliłaby się ze wstydu z takiego szyldu, a firma poszła na dziady za dwa tygodnie.

— Trzeba tabliczkę przetrzeć ście...

— Reczką — dokończył sąsiad, Zenek Urtacki.

— Tak jest, Urtacki, proszę zameldować się po przepustkę.

STEFEK

Stefek miał rękę do koni.

— Z koniem można tylko do brocią — mawiał — a jak przylać, to jednego bata, ale musi wiedzieć za co. Jak z dzieckiem. No, i dobry obrok podać. Siano z galantej lucerni, seladery, koniczyny, ażeby pachniało. Na zołzy — marchew.

W jego stajni i wozowni panował wzorowy porządek, a w obcowaniu z czworonożnymi przyjaciółmi zachowywał spokój. W harmonijnej symbiozie z cuzantami żyły fokstieriery, zwane przez Stefka foksjerami. Hałaśliwa psiarnia naruszała ciszę stajni ujadaniem, zwłaszcza gdy współlokatorzy złożyli swe cielska na słomie, ale... zachowywała wzorową ciszę w czasie obrokowania. Pełne skupienie towarzyszyło również polowaniu na szczury. Komendę obejmowała wówczes Dżena. Może się to wydać dziwne, bo pochodziła z Warszawy, z alei Jerozolimskich, ale w żyłach jej widocznie płynęła krew przodków — myśliwych.

Otóż ta superzgrabna suczka najpierw ustawiała sforę na posterunkach, a więc przy wszelkich wyjściach i norach, a sama wespół z Dżekiem chwytała w locie spłoszone gryzonie, podrzucała do góry i bez litośnie tłukła nimi o cement.

Stefek stawał wówczas przed stajnią, uśmiechał się z zadowoleniem i stwierdzał: — Małe to, a sprytne jak mucha.

Foksteriery, jak gwardia honorowa, asysowały każdemu wyjazdowi. Kiedy ze stajni wyprowadzano wierzchowca, ustawiały się w rzędzie, a gdy jeździec dosiadł konia, rozpoczynały piekielną muzykę, towarzysząc do granicy opłotków. Natomiast wyjazd z wozowni poprzedzały wygodnym usadowieniem się na tylnym siedzeniu, które opuszczały natychmiast, gdy Stefek strzelił z bata. Biegły wówczas jak opętane, dokonując kilkakrotnych okrążeń wokół pojazdu, po czym, jakby z żalem, w całkowitej ciszy, udawały się do stajni. Tylko Dżena zazwyczaj towarzyszyła Stefkowi na koźle i zeskakiwała na znak, który tylko im obojgu był znany.

Dżena nie znosiła samochodów. Mało! wyrażała im niemą pogardę. Omijała je z daleka i zdecydowanie odmawiała propozycjom usadowienia się na miękkich poduszkach piekielnej maszyny.

Stefek wtedy triumfował:

— Co się dziwić psinie? Smierdzi toto i dymi, a kurzy jak młockarnia. Mechanika!

ANDRZEJ BISKUPSKI

Zabawy i obsesje

Od paru lat ukazuje się tzw. Biblioteka Młodych pod patronatem Związku Młodzieży Wiejskiej i Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Seria ta ma dwóch wydawców: Ludową Spółdzielnię Wydawniczą i Wydawnictwo Łódzkie i obejmuje już w tej chwili pokaźną listę ponad dwudziestu pozycji książkowych o łącznej objętości sięgającej tysiąca stron tekstu. Można więc mówić o nie doraźnej akcji umożliwiającej debiut książkowy młodym autorom, ale o formie mecenatu społecznego zdającego się działać z pełną świadomością. Tym bardziej więc materiał domaga się jakiegoś całościowego opisania przede wszystkim pod kątem prezentowanych w nim wartości artystycznych; zanim to jednak nastąpi przyjrzyjmy się przykładowo dwóm pozycjom wydanym w ostatnich miesiącach — a są to tomiki poetyckie R. Orlewskiego i M. Złocha.

* * *

„Zabawy na wietrze" *) — to istotnie „zabawne" pomieszanie materii. Tu wszystko może być wszystkim. Np. autor przyznaje, że potrafi być słońcem („ja słońce"), niebem („ja niebo"), ale także może być zarówno wielkim jak i małym, a nawet... niczym („ja wielki mały nic"). Nic zatem dziwnego, że w jego świecie występować mogą najdziwniejsze stwory. Przykładowo: nie po prostu „kominy", lecz „śpiew kominów"; nie po prostu „góra", „akacja" czy „śmiech" jako takie, ale raczej „śmiech góry" albo „uśmiech akacji"; nie czyjaś konkretna „nagość" i nie „ogród" konkretny (np. przy domku jednorodzinnym lub działkowy), ale mało mówiąca „nagość ogrodów". Prawdę mówiąc, te przytaczane sformułowania są i tak mniej udziwnione niż np. osławiona „centryfuga natchnień" czy choć by „półmisek radości" — ale podobne metafory ganił surowo Stanisław Czernik już bez mała pół wieku temu.

Nasz autor sądzi zapewne, że poezjowanie to najzwyklejsze w świecie udziwnianie. A udziwnianie najprościej uzyskuje się albo przez zestawienie dwóch rzeczowników obok siebie, albo przez łatwe antropomorfizacje: „drzewa kucają", „konar dębu stawia szałasy", „noc tka balkon chłodem nocy", „dym otwiera bramy miastu", „rośliny podpalają manifesty" itd. itd. Nieuprzedzony czytelnik tych — i podobnych im — sformułowań musi sobie postawić pytanie: po co te wszystkie dziwolągi, z jakim celem są przywoływane? Przyznaję się, że nie potrafiłem znaleźć żadnej racji poza tą, że są to zaiste „zabawy" — i to prowadzone kosztem cierpliwości czytelnika, który w dobrej wierze sięga nieopatrznie po omawianą książeczkę.

Ale bądźmy jeszcze cierpliwi; wszak słowo „zabawy" sugerować może trafniejsze odczytanie zamiaru autorskiego, niż to by mogło wynikać z przedstawionych dotychczas zarzutów. „Zabawy" sugerują niedwuznacznie, że powinniśmy wiersze te traktować pobłażliwie, jako coś na zasadzie igraszek, harców, przekomarzań dziecięcych; albo że po prostu są kierowane do najmłodszych naszych czytelników, do przedszkolaków czy pierwszoklasistów — a więc do tych maluchów, co to im mamy czytać jeszcze muszą i wszystko powolutku tłumaczyć. Uwaga ta wydaje się o tyle trafna, że przecież niesłusznie byłoby przypisywać samemu podmiotowi lirycznemu (tj. osobowości autora) całego zespołu infantylizmów zawartych choćby w następującym wierszu:

Dostałem małą chorągiewkę
w święto dostałem
i zabawki dostałem w święto

Cieszyłem się świętem
chorągiewką cieszyłem
i zabawki cieszyły mnie w święto
Bicie dostałem za chorągiewkę
w święto dostałem
i zabawki zabrano mi w święto

Płakałem za chorągiewką
w święto płakałem
i zabawek było mi szkoda

Zarówno cytowany wiersz jak i pięć pozostałych z tego cyklu, można by śmiało zakwalifikować jako najcelniejsze utwory tomiku, wobec czego szczerze doradzalibyśmy autorowi „Zabaw na wietrze" zająć się pisaniem wierszy dla dzieci nie tylko w sposób marginalny, uboczny, ale z całkowitym wewnętrznym przekonaniem. A warto — bo, jak słychać, Wydawnictwo Łódzkie zamierza szerzej jeszcze uwzględnić ten trudny rodzaj literacki w swoich planach edytorskich.

* * *

Poezja Rafała Orlewskiego **) jest po trosze tradycjonalna w kształcie (tradycjonalna — w sensie wyraźnego odwołania się do martwej już tradycji skamandryckiej; uwaga ta nie dotyczy wszakże wszystkich wierszy). Autor postępuje tu tak, jakby wychodził z założenia, że tylko w takiej formie da je się najdogodniej zamknąć poetykę nakierowaną na bezpośrednie wypowiadanie myśli; a trzeba podkreślić, że treści myślowe i dbałość o ich wypowiadanie są najważniejszymi komponentami poetyckich konstrukcji Orlewskiego. Niekiedy dążność ta przeradza się nawet w łatwy dydaktyzm — na szczęście nie pojawiający się zbyt często. W sumie jest to jednak poezja, która potrafi wzbudzić zainteresowanie natury refleksyjnej, a jest przy tym także ciekawa wyobraźniowo. Oto przykład sugestywnego — i jakby uogólnionego (totalnego) — przedstawienia grozy nadciągającej wojny; grozy udzielającej się nie tylko ludziom, ale i całemu otaczającemu ich środowisku przyrodniczemu:

Żołnierz wioskę pożegnał. Szpak
skamieniał w locie.
Dłonie ojca w czas siejby wypadły z fartucha.
Matka kromkę żytniego weisnęła racucha.
Kogut modły wyśpiewał na
zmurszałym płocie.
Chude prosię smętniało — jak
sierota — w błocie.
Przedłużyły psy wyciem ogniwa
łańcucha.
Noc wysiała krowinom sen-
ność w cielnych brzuchach.
Bocian się na żałobnym powiesił klekocie.

Możliwości tej poezji uwidaczniają się także w umiejętności kreowania stanów wykraczających poza realne materialne istnienie; oto przykład kreacji pośmiertnego monologu żołnierza, pogrzebanego na obcej ziemi:

Dobrze mi tu. Objęty korzenia
palcami,
Który mnie poległego jak gos-
podarz przyjął,
Słucham jak nowe palki w sta
re werble biją.

Jednak chwytam kurczowo ko-
rzeń, gdy stadami
Buty trawę tratują, a psy ciąg
ną kłami
Kości w ziemię rzucone — (...)

I choć trudno określić dokładnie, do jakich zagadnień ogólniejszych sprowadzają się główne ramy tematyczne tej poezji, to jednak daje się tu zauważyć pewna obsesyjność w podejmowaniu wątku upływu czasu. Czas wydaje się być dla Orlewskiego centralną kategorią egzystencjonalną, występującą w różnych uwikłaniach: raz w najogólniejszym wymiarze dziejów historycznych (a mam tu na myśli przede wszystkim pięknie poetycko ujęty obraz tysiąc letnich dziejów Polski — w słowach: któraś jest o tysiącu wioseł z białym ptakiem przy sterze"), innym razem jako kategoria przydatna do wyrażenia atmosfery zbiorowego stanu wyczekiwania, to znowu w wymiarze najprostszej osobistej refleksji nad wartko przemijającym nurtem życia jednostkowego. Ale niszczące działanie czasu dotyczy głównie biologicznego istnienia jednostki, dla której nawet chwilowe przyśpieszenie rytmu dziejów stanowi zawsze chwilę najbardziej dramatyczną i tragiczną — bo zagrażającą życiu jednostki. Dlatego wielokrotnie nad wierszami Orlewskiego unosi się wyraźnie zauważalna atmosfera żałoby, podkreślana dodatkowo częstym posługiwaniem się barwami czarnymi („krew czerniejąca"; „czarne godziny"; „chwila czarnej róży"; „czarny śmiech ptaka"; „dłonie czerniejące").

Jak u każdego debiutanta, tak i w omawianych wierszach widać jeszcze tu i ówdzie rozmaite potknięcia, a już najbardziej rażącym jest następujący, niekontrolowany dostatecznie przez poetę, humorystyczny zwrot:

(...)
krew się nie leje, wróg nie
pada,
lecz stoi kikut mojej sławy.

Podobnie niezręczna, i nie wiele mówiąca, jest próba określenia sensu własnego wierszopisarstwa — podawana w słowach:

Wiersz mój wyrośnie w słojach
buków,
przedłuży górski skok kozicy.
A jeśli padnie, to na bruku
w hołdzie dla muzy-ulicznicy.

Szkoda — bo podobne sformułowania, występujące nieraz w udanych partiach tekstów, znacznie obniżają dobry ogólny poziom tomiku.

---

* Marek Złoch: „Zabawy na wietrze". Wydawnictwo Łódzkie 1969; str. 42 plus 2 nlb.

** Rafał Orlewski: „Krzesiwo". Wydawnictwo Łódzkie 1969; str. 37 plus 1 nlb.

Fot. A. Wach

KOMU MAJĄ SŁUŻYĆ WYSTAWY?

1.

Warto czasem zastanowić się nad znaczeniem pytań retorycznych, których zadaniem jest prowokowanie bezpośrednich odpowiedzi. Może się wtedy okazać, że te puste stylistyczne figury posiadają głęboki i często bardzo złożony sens. Postarajmy się, np. odpowiedzieć sobie na jedno z takich pytań: Komu mają służyć wystawy? Aby uniknąć wieloznaczności — dodajmy — wystawy plastyczne.

Oczywiście — odpowiadając najprościej — powiemy, że służyć mają obu stronom, czyli wystawiającym i zwiedzającym. Jedni mają na wystawie możliwość zaprezentowania dzieł swego talentu, postawy twórczej, doświadczenia życiowego. Drudzy — możliwość zapoznania się z produkcją artystyczną, której są adresatem, zaznajomienia się z nowymi twórczymi propozycjami.

Co jednak mają wspólnego pytania retoryczne z wystawami?

I tu — wydaje się — przechodzimy do spraw podstawowych. Gdyby bowiem organizatorzy tegorocznej wystawy okręgowej ZPAP w Łodzi zechcieli sobie wcześniej odpowiedzieć na postawione w tytule retoryczne pytanie, zwiedzający uniknęliby wielu mocno irytujących wrażeń.

Trudno zaś widzowi, który odwiedził galerię w parku Sienkiewicza, oprzeć się wrażeniu, że organizując tę wystawę zapomniano o drugiej stronie, czyli o publiczności. Skromna ilość 40 katalogów, którą otrzymała obsługa galerii do sprzedaży rozeszła się tak szybko, że już następnego dnia po otwarciu wystawy nikt tego rarytasu nie mógł otrzymać. Nie jest to jeszcze powód do przerażenia, jako że katalogi wystawowe nie są drukami masowymi, a wyjątkowy na nie popyt mógł jednakowo zaskoczyć organizatorów, choć w niczym nie zmienia to, rzecz jasna faktu, że katalog wystawy okręgowej powinien mieć nieco większy nakład.

Ale nie to jest najbardziej irytujące. Zawsze wystawa jest prezentacją dzieł, które ktoś stworzył — dzieł — które posiadają swoich realnie istniejących twórców. Poza wystawami pokonkursowymi, gdzie zazwyczaj ujawnia się tylko nazwiska nagrodzonych, zawsze eksponowane publicznie obrazy, grafiki, rzeźby opatruje się imiennymi metryczkami twórców. Tym razem jednak organizatorzy wystawy okręgowej postanowili się zdać na całkowitą anonimowość. Tak więc kilkadziesiąt wystawionych prac okazało się dziełem jakiegoś bliżej nieokreślonego Anonima, a dalszą konsekwencją tego było pozbawienie prac również tytułów. Że niby cały urok jest w wieloznaczności i niedomówieniach.

Może wprawdzie powiedzieć ktoś, że przecież między zainteresowanymi plastykami i tak wiadomo jest jaka praca powstała w pracowni jakiego twórcy. Nieomylnie również rozpoznają je organizatorzy wystawy, nie ma więc problemu...

To prawda — tylko że wystawy nie organizuje się dla niewielkiego grona, dla elity. Adresatem wystawy — dorocznej wystawy — łódzkiego środowiska plastycznego powinno być społeczeństwo w szerokim tego słowa znaczeniu. A społeczeństwo chce i ma prawo znać nazwiska autorów wystawianych prac. I to bez względu na orientacje artystyczne poszczególnych twórców i bez względu na to, jaki poziom reprezentują poszczególne prace.

Niestety, tegoroczna wystawa, mimo jej publicznego charakteru, pozostała imprezą w dużym stopniu zamkniętą, ograniczoną do niewielkiego grona wystawiających i organizatorów.

Kwestionując te zarzuty można by wprawdzie powiedzieć, że wystarczy przecież obejrzeć wystawione prace, a autorstwo ma i tak drugorzędne znaczenie, skoro przeżycia estetyczne dają obrazy, a nie nazwiska.

Myślę jednak, że nie jest to tak. Co innego są bowiem wrażenia czysto percepcyjne wyniesione z obcowania z dziełem sztuki, a co innego konsekwentna staranność i rzetelność organizacyjna. Bo co by się na przykład stało, gdyby tę metodę anonimowości zastosowano w innych dziedzinach twórczości. Wydawnictwa wypuszczałyby książki bez nazwisk autorów, z sal koncertowych popłynęłaby muzyka tworzona przez anonimów, filmy pozbawione byłyby czołówek. Powrócilibyśmy do czasów średniowiecznego anonimowego malarstwa cechowego. Dlatego ta metoda prezentowania twórczości nie może otrzymać patentu na przyszłość.

2.

Poziom artystyczny tegorocznej wystawy był, niestety, niższy niż w ubiegłych latach. Całkowita absencja na wystawie kilku znanych łódzkich artystów ambitnych i cenionych — to wszystko spowodowało, że cień rzucony przez nie najlepszą organizację został jeszcze pogłębiony. Po obecnej wystawie widać najlepiej, że łódzcy plastycy są zmęczeni i wyeksploatowani twórczo po rozlicznych konkursach i po poprzednich znakomitych wystawach, jakie zorganizowano w Łodzi.

Oczywiście były i na tegorocznej wystawie okręgowej prace reprezentujące wysoki ogólnopolski poziom. Najkorzystniej niewątpliwie reprezentowana była twórczość graficzna, mimo stosunkowo niewielkiej ilości wystawianych grafik. W malarstwie natomiast poziom nie był zbyt wysoki i poza kilkoma obrazami nie mógł chyba wzbudzić niczyjego entuzjazmu. Suche choćby wymienienie bardziej interesujących prac zostało utrudnione ze względów czysto organizacyjnych. Można by to było zrobić stosując jakiś uproszczony kod orientujący w topografii galerii. Wygląda to mniej więcej tak: ciekawe poszukiwania w zakresie struktury obrazu zademonstrował autor pierwszej kompozycji na lewo od drzwi wejściowych; przykład dobrej aluzyjnej i poetyckiej sztuki stanowi trzynasty obraz na prawo od drzwi. Dobry poziom reprezentują obrazy 30—31 i 35—36 na lewo od drzwi.

Mam nadzieję, że nawet najbardziej nieprzejednanym zwolennikom anonimowości, taka metoda opisowa, przyjęta przez krytyka, nie przypadnie do gustu. Łatwiej i lepiej jest chyba pisać o sztuce Rózgi, Liberskiego, Kondka, Fijałkowskiego, Szajdzińskiej, Nawrota, Tchórzewskiego, niż o kolejnych numerach w ekspozycji.

Jeśli więc nawet podczas kompletowania wystawy, okazało się, że ogólny jej poziom nie będzie zbyt wysoki, nie było potrzeby stosować metody ogólnej anonimowości. W twórczości nie ma reguł; raz robi się rzeczy lepsze, raz gorsze. Twórczość artystyczna nie jest produkcją automatyczną, w której można z góry założyć wytwarzanie zawsze wyrobów o jednakowej jakości. Są to stwierdzenia banalne i powszechnie znane, nie ma więc potrzeby ich mnożenia.

Można było wreszcie — jeśli nie było już innego wyjścia — zrezygnować w ogóle z urządzenia wystawy w tym roku. Organizowanie czegoś na siłę tylko dlatego, że tak każe zwyczaj, prowadzi tylko do zadania sobie retorycznego pytania:

Komu mają służyć wystawy?

ANONIM

Czeski przyjaciel Polaków

(W STULECIE ŚMIERCI JANA EWANGELISTY PURKINJEGO)

Światowa Rada Pokoju poleciła dzień 28 lipca br. uczcić obchodem setnej rocznicy śmierci Jana Ewangelisty Purkinjego, którego pamięć szczególnie jest droga Polakom.

Wybitny uczony anatom, którego dorobek w dziedzinie eksperymentalnej fizjologii i histologii zjednał mu szybko ogólny szacunek w kołach lekarskich Europy, był humanistą wielkiego formatu. Jemu to zawdzięcza Wrocław tradycje powołania tam Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, on to popierał rozwój literackiej twórczości Słowian, do spółki z Szukiewiczem zapisał się w bibliografii jako przekładowca na język polski „Ohlasu pisni czeskych" Czelakowskyego, a sam tłumaczył „Marię" Malczewskiego. Długi zestaw jego anatomicznych rozpraw w sposób istotny naświetlił właściwe drogi lekarskiego postępowania w służbie ludzkiego zdrowia. Jego inauguralna dysertacja o budowie oka ludzkiego znalazła życzliwe poparcie Goethego, który mu udzielił — jak twierdził Purkinje — „przyjaźni i opieki". Sam skorzystawszy z mecenatu wybitnego obcokrajowca, dla innych cudzoziemców — kiedy właściwą pozycję uzyskał — był mecenasem nigdy nie żałującym serdecznego poparcia kiesą i radą.

Szczególnie serdeczne kontakty J. E. Purkinjego z Polakami datują się od 1834 roku, kiedy to Purkinje przybył do Krakowa, zwiedził miasto, złożył wizyty przedstawicielom świata nauki i nawiązał współpracę autorską z „Rocznikami Wydziału Lekarskiego" oraz „Kwartalnikiem Naukowym", w których ogłosił kilka fachowych lekarskich rozpraw. Jego nazwisko jako autora notują również bibliografie polskich czasopism literackich, w szczególności poznański „Tygodnik Literacki" i warszawska „Jutrzenka — Dennica". Wśród jego szerokich słowianofilskich zainteresowań sprawy polskie ściągały baczną uwagę, czego dowodem było chociażby prenumerowanie kilku polskich pism.

Najwłaściwszy obraz tego, jak dalece rozległe były kontakty Purkinjego z samymi tylko Polakami, daje przygotowana właśnie na stulecie śmierci tego wielkiego Czecha i pracowicie skomentowana przez Jarosława Wita Opatrnego księga korespondencji. Ponad sześćdziesiąt listów skierowanych przez Polaków do Purkinjego wskazuje jak bardzo Profesor musiał być uroczy, serdeczny, przyjacielski i wyrozumiały, skoro zwracano się do niego z tyloma różnymi problemami. Proszono go o poparcie dla rozwijających się dopiero czasopism, pukano do jego życzliwości, finansowego poparcia, do rozpropagowania pisma swym autorytetem czy do wskazania czasopismu programu rozwojowego, proszono go o wyrobienie miejsca w szpitalu, o pośrednictwo w przesyłaniu korespondencji do wybitnych Czechów, o pomoc w wyszukaniu locum czy nauczyciela języka niemieckiego dla polskich studentów zagubionych we Wrocławiu.

Nawiązane podczas pobytu na ziemiach polskich kontakty osobiste podtrzymywał. On to właśnie serdecznie dłoń ściskał Ludwikowi Zejsznerowi na zjeździe przyrodników

niemieckich w Pradze w 1837 roku, na który przybyło nieoficjalnie kilku Polaków, a kiedy Wiosną Ludów również w Pradze odbywał się Zjazd Słowiański szczerze cieszył się z możności wymienienia uwag z Antonim Helclem, Lucjanem Siemieńskim czy Wojciechem Cybulskim. To właśnie za sugestią Purkinjego krakowianin Cybulski objął katedrę w Berlinie.

Szacunek, a nawet entuzjazm, jakim cieszył się Purkinje wśród Polaków — i tych których poznał i wspomagał we Wrocławiu, i tych których oczarował swą bezpośredniością podczas wizyty w Krakowie — owocował w postaci monograficznej rozprawy o uczonym, którą w 1861 r. na łamach „Biblioteki Warszawskiej" ogłosił jego uczeń, krakowianin spod Skały — Janusz Ferdynand Nowakowski, który w tych słowach oddał zewnętrzny konterfekt przyjaciela Polaków, podkreślając jego zawsze młode i pełne swobody usposobienie: „Purkinje ma postawę okazałą, pełną godności, nosi się prosto, chód ma poważny z rękoma często w tył założonymi i twarzą w miarę wzniesioną, z której promieniuje dobroć i mądrość, a często wesoły uśmiech". Tej dobroci, mądrości i tego uśmiechu nigdy Polakom nie skąpił, a przypadająca właśnie rocznica jego śmierci staje się dogodnym momentem przypomnienia jego świetlanej sylwetki.

TADEUSZ Z. BEDNARSKI

Zdjęcie ze zbiorów ikonograficznych Biblioteki PAN w Krakowie.

spektakle tygodnia

	Ilość spektakli	widzów	proc.
Teatr im. Jaracza			
„Każdy kocha Opalę"	1	480	70
„Ballada o tamtych dniach"	5	2195	70
Teatr 7,15			
„Jadzia wdowa"	6	2270	90
Nowy			
„Księżyc świeci nieszczęśliwym"	3	1260	60

Półka z książkami

ALARM W ST. OMER

Nazwisko Bohdana Arcta znają dobrze miłośnicy literatury wojennej. Jego „Cena życia" — powieść o walkach z Japończykami — była nawet w swoim czasie bestsellerem księgarskim. Tym razem jednak Arct — pisarz zajmuje się sprawami, które są mu najbliższe. Arct — pisarz pisze o tym co przeżywał Arct — lotnik i jego koledzy w czasie ostatniej wojny.

W sporym, ponad 400-stronicowym tomie opowieści lotniczych znajdziemy zatem historie i fakty dotyczące obrony angielskiego nieba — pościgi za V-1, słynny „Cyrk Skalskiego", Dywizjon 303... Niektóre z tych opowieści publikowane już były w MON-owskich seriach „Żółtego Tygrysa" — dobrze jednak, że autor zebrał tych sześć opowiadań w jeden tom o jednolitej tematycznej linii.

„Jeszcze raz — pisze Arct — powtarzam tematykę wojenną. Dobór nie jest przypadkowy i mam nadzieję, iż w pewnej mierze daje dodatkowy, nieco uzupełniający obraz działalności naszego lotnictwa w czasie ubiegłej wojny, gdyż cała treść tomu opiera się na stwierdzonych i udokumentowanych faktach".

Właśnie. Mimo beletryzacji jest to książka dokumentalna i choć mówi właściwie o sprawach dość dobrze w Polsce znanych to przeczytać ją warto. „Alarm w St. Omer" zawiera bowiem obok faktograficznych i historycznych szczegółów atmosferę tamtych lat odtworzoną piórem dobrego pisarza i lotnika, który wojnę przeżył na pokładzie swojego „Spitfire'a".

J.W.

Bohdan Arct „Alarm w St. Omer" LSW — 1969, cena 26 zł.

NIE CZEKALIŚMY BEZCZYNNIE

W okresie ostatniej wojny znaczna część naszego województwa, a także Śląsk i inne tereny zostały przez hitlerowców włączone do Niemiec. Na tych terenach właśnie terror okupanta był od początku wojny najcięższy. Znaczną część ludności hitlerowcy przesiedlili na terytorium GG, sporo osób znalazło się na robotach przymusowych, znaczny odsetek w obozach i więzieniach. Wydawać by się więc mogło, że w tych warunkach wszelka działalność konspiracyjna była niemożliwa. Przeczy temu wydana niedawno książka Zygmunta Waltera-Janke. Autor udowodnił, że już od pierwszych dni wojny właśnie na terenie naszego miasta i wielu miejscowości województwa rozpoczęto ożywioną działalność konspiracyjną. Nie było i nie mogła być prowadzona akcja na taką skalę, jak na innych terenach, ale walka trwała nieustannie.

Na szczególne uznanie zasłużyli sobie kolejarze, którzy prowadzili poważne akcje wywiadowcze i sabotażowe. Rozwijano tu przez cały okres okupacji doniosłe przecież dla prowadzących wojnę akcje sabotażowe w zakładach produkcyjnych. Nie mniej ważna była akowska robota propagandowa, produkcja i kolportaż prasy podziemnej, wydawanie biuletynów radiowych itp. Podtrzymywało to przecież masy naszego społeczeństwa na duchu.

Książka ma charakter pamiętnika oficera, który piastował poważne funkcje w dowództwie naszego okręgu, a pod koniec okupacji — w śląskiej organizacji Armii Krajowej. Stąd masa szczegółów, które autor przywraca pamięci powszechnej, lub odkrywa je dla nas.

Choć opracowanie jest bardzo staranne i zawiera sporo interesujących szczegółów, to jednak nie wyczerpuje ono tematu. Tu i ówdzie dadzą się też dostrzec drobne błędy, ale nie zacierające obrazu zasadniczego — walki naszego społeczeństwa z okupantem hitlerowskim na naszych terenach.

JHW

Zygmunt Walter-Janke — „W Armii Krajowej w Łodzi i na Śląsku". Wyd. Pax W-wa 1969, cena 40 zł.

Zewsząd o wszystkim

Między nami delfinami

Delfiny orientują się pod wodą przy pomocą swego rodzaju radaru... Taka hipoteza obiegła w 1948 roku cały świat i dała początek „delfinologii". Na potwierdzenie jej czekano lata, jednakże do dziś wiele ważnych „konstrukcyjnych detali" delfiniego radaru pozostaje nadal tajemnicą.

Delfin posługuje się jednak nie tylko owym radarem, ma również znakomicie rozwinięty wzrok. Nawet w czterometrowej głębi, poprzez mętną wodę, dostrzega maleńką rybkę w ręku tresera, stojącego na pomoście, wysoko nad wodą. Delfin umie uchwycić ją wyskokiem z wody, tak precyzyjnie obliczonym, iż jego ostre zęby nie zadrasną nawet ręki człowieka.

Problemem dotąd przez uczonych nie rozwiązanym jest także „język" delfinów. W 1961 roku specjalista od badania funkcji mózgu u zwierząt, John Lilly, dokonał jednego z fascynujących i zasadniczych eksperymentów w tym zakresie: zaaranżował rozmowę telefoniczną pomiędzy dwoma delfinami, żeby udowodnić, iż stworzenia te nie wydają prymitywnych sygnałów, ale rozmawiają między sobą, podobnie jak ludzie. Eksperymentu dokonano w instytucie naukowo-badawczym na wyspie Saint-Thomas na Marzu Karaibskim. W ściany dwóch odizolowanych od siebie basenów wmontowano mikrofony i głośniki, a łączące je przewody przeprowadzono przez centralę telefoniczną instytutu. Pozwoliło to uczonym podsłuchiwać rozmowy, nie płosząc delfinów bezpośrednią obserwacją. Do każdego basenu wpuszczono po jednym delfinie. Zaczęły one po nich krążyć wydając „hasła wywoławcze", którymi samotne delfiny powiadamiają o miejscu swego pobytu. Słysząc owe sygnały, delfiny podpłynęły natychmiast do głośników i zaczęły na przemian to słuchać, to odpowiadać. W ten sposób rozpoczęła się ich pierwsza telefoniczna rozmowa, która trwała blisko godzinę. Z początku powtarzały tylko swoje „imiona" i nieustannie szukały niewidocznego rozmówcy. Jednak wystarczyło zaledwie kilka minut, żeby zrozumiały działanie urządzenia telefonicznego. Rozmowa była bardzo „ożywiona i uprzejma". Nie przerywały sobie nawzajem, każdy z nich uważnie słuchał swego rozmówcy, po czym dopiero sam zabierał głos.

Jak wiadomo, język delfinów opiera się na gwizdach, każda rozmowa rozpoczyna się od wezwania i odpowiedzi i dopiero po nich następuje seria sygnałów-gwizdów o różnej długości, wysokości tonu i natężeniu.

Szczególnie interesujące doświadczenie naukowe przeprowadzili dwaj pracownicy instytutu — Langhouse i Smith. Na taśmie magnetofonowej utrwalili oni rozmowę małżeńskiej pary delfinów — Dicka i Doris, po czym rozdzielili ją na okres 4 miesięcy. Po upływie tego czasu umieścili Dicka w basenie i włączyli zapis głosu Doris. Słysząc głos małżonki delfin ucieszył się i odpowiedział na jej pozdrowienie. Tę rozmowę delfina z magnetofonem śledzili ze stoperem w ręku obaj uczeni. Następuje decydujący moment doświadczenia: eksperymentatorzy włączają z zapisu siedem silnie modulowanych gwizdów, którymi cztery miesiące temu rozpoczęła Doris rozmowę. Dick reaguje w sposób równie zdumiewający, co nieprzewidziany: milknie i nie podtrzymuje rozmowy. Doświadczenie powtórzono dwukrotnie i dwukrotnie samiec odpowiedział na sygnał wywoławczy, ale dalszej rozmowy nie podtrzymywał. Milkł w tym samym miejscu magnetofonowego zapisu i odpływał od głośnika. Amerykańscy uczeni wyciągnęli z tego wniosek, iż cztery miesiące temu Doris powiedziała coś, co po upływie tego czasu przestało już być istotne...

Ten niezwykle interesujący eksperyment potwierdził hipotezę, że delfiny wypracowały sobie jakiś sposób porozumiewania się, podobny do tego, jakim posługuje się człowiek.

Zoolog K. Norris udowodnił nawet, iż język delfinów jest „międzynarodowy". Zaaranżował rozmowę telefoniczną między delfinami złowionymi w dwóch różnych oceanach. Rozumiały się doskonale i obeszło się bez... „tłumacza".

Jednakże kodu delfiniego języka nie udało się dotąd rozszyfrować, nawet przy pomocy maszyn elektronicznych. Zresztą jest to problem niezmiernie trudny do rozwiązania, ponieważ uczeni nie mają pojęcia ani o ewentualnych prawidłach powstawania tego języka, ani o charakterze informacji, przekazywanych przy jego pomocy.

Robiono także próby nauczania delfinów ludzkiej mowy. Okazało się, że wprawdzie niektóre spośród nich szybko przyswoiły sobie pojedyncze dźwięki i słowa, ale dotąd nie udało się nauczyć delfina mowy ludzkiej.

(„Quick" — Monachium)

Kultura polska w świecie

„MAZOWSZE" w mongolskiej jurcie

O WSPÓŁPRACY KULTURALNEJ MIĘDZY MONGOLSKĄ REPUBLIKĄ LUDOWĄ I POLSKĄ ROZMAWIAMY Z III SEKRETARZEM AMBASADY MONGOLSKIEJ REPUBLIKI LUDOWEJ W POLSCE — DANŻANGIJNEM CZIMEDDORŻEM

ODGŁOSY — Mimo ogromnej odległości geograficznej dzielącej oba kraje, społeczeństwo polskie wykazuje żywe zainteresowanie życiem i kulturą Mongolii.

D. CZIMEDDORŻ — Rzeczywiście odległość jest ogromna. Dość powiedzieć, że Polska leży w środku Europy, a Mongolia w centrum Azji, zaś odległość dzieląca stolicę Mongolii — Ułan Bator od Warszawy wynosi prawie 8 tysięcy kilometrów. Mimo to, a może właśnie dlatego, społeczeństwo polskie wykazuje duże zainteresowanie życiem i kulturą naszego narodu. Ściślejsze kontakty zostały jednak nawiązane dopiero po drugiej wojnie światowej. Wprawdzie Polacy byli w Mongolii już wcześniej, ale były to kontakty sporadyczne. I tak w trzynastym wieku razem z posłem papieskim przyjechał do nas Benedykt Polak, później, w wieku dziewiętnastym Polacy zesłani na Sybir często trafiali do Mongolii. W latach trzydziestych XIX wieku odwiedził nasz kraj zesłany na Syberię Józef Kowalewski, późniejszy wykładowca na Uniwersytecie Kazańskim i słynny twórca pierwszego i jak dotąd najlepszego słownika mongolsko-rosyjsko-francuskiego. W okresie między wojennym, kiedy Polska odzyskała niepodległy byt, ustały wszelkie kontakty i w Mongolii prawie nie wiedziano o tym, co się działo w Polsce.

ODGŁOSY — Odrębność geograficzna, kulturowa a także krańcowo różne warunki życia utrudniają niewątpliwie szerszą wymianę kulturalną. Jednocześnie wspólnota ustrojowa stwarza warunki sprzyjające rozwojowi tej wymiany. Jakie są tego rezultaty?

D. CZIMEDDORŻ — Zbliżenie obu narodów nastąpiło dopiero po II wojnie światowej. Między Polską i Mongolią od roku 1958 istnieją stałe układy dotyczące współpracy i wymiany kulturalnej. Sprzyjają one dalszemu rozszerzaniu przyjaźni i lepszemu zapoznaniu się z osiągnięciami obu narodów. Trzeba jednak pamiętać, że wymiana kulturalna między krajami leżącymi na dwu różnych kontynentach będzie miała nieco inny charakter niż na przykład wymiana między dwoma państwami europejskimi. Zbyt duże są różnice kulturowe i obyczajowe, aby wszystkie dziedziny kultury, zarówno mongolskiej, jak i polskiej były w tej wymianie jednakowo reprezentowane.

W Mongolii znany jest film polski, prezentowany na przykład w roku ubiegłym podczas Tygodnia Filmu Polskiego. Znany jest również film telewizyjny. Kapitan Kloss i Czterej Pancerni są znani społeczeństwu mongolskiemu nie gorzej niż telewidzom polskim. Najlepszym dowodem tej popularności jest powtarzanie co pewien czas obu serii na żądanie telewidzów. W roku bieżącym sprowadziliśmy z Polski około 60 filmów telewizyjnych.

Gościły u nas zespoły „Śląska" i „Mazowsza", co roku przyjeżdżają do Mongolii polscy artyści cyrkowi, istnieje wymiana naukowców, literatów, dziennikarzy, sportowców, alpinistów. Dzięki współpracy Akademii Nauk zorganizowano w Mongolii ekspedycję paleontologiczną, geologiczną i geograficzną. Podobnie jak wymiana kulturalna, tak i wymiana naukowa oparta jest na obustronnych porozumieniach.

W tym roku, na przykład, została podpisana dwuletnia umowa o współpracy naukowej między Akademiami Nauk Polski i Mongolii.

Trzeba podkreślić, że w rozwoju przyjacielskich kontaktów między obu narodami dużą rolę odegrały wizyty, które wzajemnie składali przywódcy naszych krajów wraz z delegacjami partyjno-rządowymi.

ODGŁOSY — Co z kultury polskiej jest najatrakcyjniejsze dla odbiorcy mongolskiego, co jest najłatwiej przyswajalne?

CZIMEDDORŻ — Z całą pewnością polski folklor. Artyści z zespołów „Śląska" i „Mazowsza" pamiętają chyba, jak żywo reagowała na ich występach publiczność mongolska. Na ogół nasze społeczeństwo jest bardzo spokojne, a na koncertach ludzie krzykiem dopingowali artystów do bisu. Wspomniałem już o popularności polskiego filmu, szczególnie telewizyjnego. Znany jest u nas Chopin, cenione są przetłumaczone utwory Adama Mickiewicza.

ODGŁOSY — Skoro doszliśmy do literatury, w jakim stopniu jest ona znana czytelnikowi mongolskiemu?

D. CZIMEDDORŻ — W tej chwili profesor Rinczin tłumaczy „Pana Tadeusza". W wydanym w roku ubiegłym tomie poezji rewolucyjnej obok poetów radzieckich znaleźli się także Polacy. Ale niewiele jest jeszcze polskich przekładów. Przyczyna jest bardzo prosta — mało jest ludzi znających język polski. Natomiast sporo ludzi studiujących w ZSRR zna polską literaturę z przekładów na język rosyjski. Wiem, że szczególnie podobał im się Sienkiewicz i Prus. Sądzę jednak, że do poprawy istniejącego stanu rzeczy przyczynią się studia polskie wielu naszych młodych ludzi. Sam tutaj studiowałem i uważam, że zarówno wobec ojczyzny, która mnie tu przysłała, jak i wobec narodu polskiego mam dług wdzięczności, który powinienem spłacić. Zacząłem już tłumaczyć „Faraona" Prusa i mam nadzieję, że uda mi się pomyślnie zrealizować to trudne przedsięwzięcie. Chciałbym bowiem jak najlepiej oddać w mongolskim przekładzie piękno języka polskiego.

Trudności językowe są zresztą obustronne, stąd i literatura mongolska w Polsce nie jest powszechnie znana.

ODGŁOSY — Jak pana zdaniem przedstawia się znajomość kultury mongolskiej w Polsce?

D. CZIMEDDORŻ — Żywe zainteresowanie naszym krajem wykazuje szczególnie młodzież. Zwracają się do nas organizacje, bądź indywidualne osoby z prośbą o udostępnienie czasopism, ilustracji, zdjęć bądź też materiałów, które by mogły poszerzyć ich wiedzę o Mongolii. Z przyjemnością im to udostępniamy. Ostatnio na przykład zwrócili się do nas studenci Uniwersytetu Warszawskiego, którzy wystąpili z inicjatywą zorganizowania przy ZSP Koła Przyjaciół Mongolii.

Mimo tego, co powiedziałem, wydaje mi się że znajomość kultury mongolskiej w Polsce nie jest zadowalająca. Często można to zaobserwować w niektórych reportażach polskich dziennikarzy, którzy zwiedzali Mongolię. Popełniają oni jeden błąd — oceniając zmiany dokonane w Mongolii, porównują je z osiągnięciami krajów europejskich. A przecież trzeba pamiętać, że przed rokiem 1921 w Mongolii tylko 0,07 proc. ludności umiało czytać i pisać. Dzisiaj nie ma u nas analfabetów. Musieliśmy stworzyć od podstaw własną kinematografię, nie było u nas instytucji kulturalnych w rodzaju filharmonii czy teatru. W tej chwili mamy już kilka wyższych uczelni. Na 1000 osób przypada 16 studentów, na 650 osób — jeden lekarz. To są niewątpliwie ogromne osiągnięcia.

ODGŁOSY — Jakie pan widzi możliwości pogłębienia dalszych kontaktów kulturalnych między Mongolią i Polską?

D. CZIMEDDORŻ — Chociaż może się to wydawać dziwne, dużą rolę pełnią tutaj polscy specjaliści, którzy budują u nas zakłady przemysłowe. Są jak gdyby ambasadorami kultury polskiej w Mongolii, a potem mongolskiej w Polsce. Podobnie zresztą i studenci mongolscy studiujący w Polsce. Od nich oczekujemy propagowania kultury polskiej w Mongolii. Znając język polski powinni zająć się tłumaczeniem literatury polskiej.

Powinna się zwiększyć jeszcze bardziej wymiana ludzi nauki, pisarzy, publicystów. My ze swej strony — mówię tu o pracownikach ambasady — musimy częściej organizować wystawy, pogadanki, prezentować filmy o Mongolii, częściej trafiać do miast wojewódzkich, do zakładów pracy. Powinniśmy także zorganizować na terenie całej Polski Dni Kultury Mongolskiej.

I chociaż oba narody są od siebie bardzo daleko to pewne wspólne cechy — jak serdeczność i gościnność — z pewnością ułatwią jeszcze lepsze poznanie życia i kultury.

ROZMAWIAŁA:
BOGDA MADEJ

POLONICA

„SZPILKI" U PRZYJACIÓŁ

„Litieraturnaja Gazieta" poświęca w każdym numerze jedną kolumnę na prezentację twórczości satyryków. Dobrze redagowany dział humoru nosi nazwę „Klubu 12 krzeseł". Ostatnio znaleźliśmy tam następującej treści list:

„Polscy satyrycy i humoryści byli niejednokrotnie gośćmi „Klubu 12 krzeseł". Ale dziś po raz pierwszy zajęliśmy jego wszystkie pomieszczenia. Znając gościnność ludzi radzieckich, mamy nadzieję, że nam to wybaczą zarówno gospodarze klubu jak i ci stali jego bywalcy, dla których dziś z naszego powodu zabrakło krzeseł...

Ta wizyta sprawia nam wszystkim wielkie zadowolenie, ponieważ spodziewamy się spotkać tutaj osobę, którą wszyscy lubimy i poważamy — radzieckiego czytelnika.

Ze szczerymi pozdrowieniami
„SZPILKI"

Załączona do listu kolumna tekstów i rysunków dobrze wprowadza radzieckiego czytelnika w aktualne możliwości polskiej satyry. Znajdziemy tam stałe pozycje „Szpilek", takie jak „Zmyślenia" Wiesława Brudzińskiego czy też „Listy Teofila" Arnolda Mostowicza. Zaprezentowano także wybór tekstów z cyklu „Śmiechu warte". Prócz tego na kolumnie zamieszczono felieton satyryczny Janusza Osęki „W kolejce", humoreskę Anatola Potemkowskiego „Pies", fraszki Ludwika Górskiego i Lecha Konopińskiego oraz satyryczny tekst „Poznaj swój charakter". Żarty rysunkowe reprezentowane są przez E. Mańczaka, J. Flisaka i K. Mozolewskiego. Satyrę polityczną wreszcie poznają radziecki czytelnik poprzez szkice Stanisława Ibisa-Gratkowskiego pt. „W Grecji".

Starannie zredagowana kolumna jest dobrym ambasadorem kultury polskiej w Związku Radzieckim. Szkoda tylko, że wydawcy nie podali nazwisk tłumaczy doskonale zresztą przełożonych tekstów.

K.F.

POLONICA

Szwed na Akropolu

„Serdecznie witamy w Grecji — krainie słońca!". Ogromny napis tej treści wita zagranicznych turystów na ateńskim lotnisku. Junta „czarnych pułkowników" potrzebuje turystów, jak najwięcej turystów, musi przecież szukać wciąż nowych źródeł dochodów.

Atmosfera życia codziennego w Grecji jest przepojona podejrzliwością i strachem, nikt nie wie, „kto jest kto". Zagraniczny turysta, który pragnie bliżej poznać stosunki panujące w tym kraju, powinien stale mieć się na baczności i zachować daleko idącą ostrożność. Nie chodzi tu o jego osobiste bezpieczeństwo — co najwyżej opuści tę „krainę słońca" przed terminem — lecz o bezpieczeństwo jego starych i nowych greckich przyjaciół i znajomych.

Opozycja ujawnia się na każdym kroku. Wystarczy tylko lekko uderzyć w przysłowiowy stół, a natychmiast się odzywa. Jest rozproszona, ale skonsolidowana. Greków zjednoczyła głęboka nienawiść do premiera Papadopulosa i jego kamaryli.

— Któregoś słonecznego popołudnia — opowiada szwedzki dziennikarz Bengdt Holmkwist — wsiadłem przed hotelem do taksówki i pojechałem na Akropolis. Przejazd przez zatłoczone miasto okazał się bardzo trudny. Ulice przepełnione wojskiem, trasy ruchu kołowego — pozmieniane. Kierowca taksówki mówił trochę po włosku. Miał nastawione radio, ale odbiór był cichy. Ktoś wygłaszał mowę, utrzymaną w bardzo gwałtownym tonie.

— Kto to przemawia? — spytałem — Polityk?

— Sam wielki Papadopulos — odparł taksówkarz z kamiennym wyrazem twarzy.

Mówię więc, że to bardzo interesujące i proszę go, żeby nastawił radio odrobinę głośniej. Kierowca szybko i bez słowa wyłącza odbiornik. Skręca w boczną ulicę i prosi mnie, bym wysiadł z samochodu.

— Nie mam zamiaru wieźć pana ani o jeden metr dalej — mówi grzecznie, ale twardo. Wyłącza licznik i nie chce nawet słyszeć o opłacie za przejazd. Pragnie jedynie, żebym co prędzej opuścił jego samochód:

— Niech pan wysiada, niech pan szybko wysiada! — powtarza uparcie.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że ryzykuje. Wie, że mogę zanotować numer taksówki i złożyć skargę w policji. Wie, że straci prawo jazdy wraz z zębami i ochotą do życia. Mimo to nie stara się nawet ukryć swego wrogiego stosunku do tego znienawidzonego w Grecji faszysty.

Pozostałą część drogi na Akropol musiałem już odbyć pieszo.

(„Svenska Dagbladet" — Sztokholm)

Byznes Dona Husstona

Już od dłuższego czasu, do niewielkiego magazynu z obuwiem Dona Husstona, w nowozelandzkim kurorcie Kerikeri, zaglądali amerykańscy i kanadyjscy milionerzy. Przyjeżdżali jednak nie po pantofle i sandały firmy „Don Husston i Ska", lecz aby kupić „zamorską wysepkę" lub „wypoczynkową działkę" w północnej części Nowej Zelandii, w rejonie, który kapitan James Coock opisał w swoim czasie, jako „zakątek niezwykle malowniczy i romantyczny, położony nader uroczo wśród mnóstwa wysepek i zatok".

Mister Husston nie jest oczywiście właścicielem ani wybrzeża, ani okolicznych wysp nowozelandzkich. Był tylko pośrednikiem między posiadaczami tych obecnie tak modnych kurortów i zagraniczną „klientelą", pragnącą zawładnąć jakimś idyllicznym zakątkiem, w którym można by spędzić przyjemnie czas. I w taki oto prosty sposób na wybrzeżu Nowej Zelandii zaczęła się po trochu rozrastać „amerykańska kolonia". Nie wiadomo, ile jeszcze terytorium tego kraju udałoby się sprzedać mister Husstonowi za grube dolary, gdyby nie specjalna ustawa zabraniająca sprzedaży Amerykanom przybrzeżnych terenów i wysp.

Uchwalona przez parlament ustawa nie poszła w smak mister Husstonowi:

„Jako Nowozelandczyk w trzecim pokoleniu — powiedział — też bym nie chciał, żeby Amerykanie rozkupili po kawałku cały nasz kraj. Mimo to uważam, że ustawa jest zbyt rygorystyczna".

Pragnąc ratować wygodny dla siebie trójstronny nowozelandzko-amerykańsko-kanadyjski byznes, Don Husston usprawiedliwia go w ten sposób:

„Bez przesady. Nie sprzedaliśmy tych wysp tak znowu dużo. Gazety narobiły wokół tego tyle szumu, iż mogłoby się wydawać że Amerykanie otaczają plaże drutem kolczastym, żeby nie wpuszczać na nie Nowozelandczyków"...

(„New York Times")

Zewsząd o wszystkim

MIECZYSŁAWA WALCZAK

„Ballada" inaczej

Dwudziestego szóstego lipca na placu w Radomsku już od rana zebrały się tłumy ludzi. Przybyli nie tylko mieszkańcy tego miasta i jego okolic, zjechali się także przedstawiciele z całego województwa łódzkiego. Uroczyście obchodzono 25-lecie Polski Ludowej. Obchody rozpoczęła sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej i Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, mająca na celu podsumowanie osiągnięć naszego województwa w 25-leciu PRL. W dalszym ciągu trwania uroczystości odbyło się nadanie zasłużonym działaczom odznaczeń państwowych. W godzinach popołudniowych ulicami miasta przeciągnął pochód uczestników wiecu, który odbył się na radomskim placu.

Zapadał mrok. I nagle tę ciemność rozproszył blask zapalających się reflektorów. Okienka kamieniczek również rozbłysły kolorowymi światełkami. Sceneria stała się niemal baśniowa. Wreszcie nadeszła oczekiwana przez wszystkich chwila. Pustą dotychczas przestrzeń wypełnił gwarny tłum wykonawców. Widowisko z okazji 25-lecia PRL przygotowywane przez wiele dni, z wielką pieczołowitością, przez Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej zostało rozpoczęte. Była to znana łódzkiej publiczności „Ballada o tamtych dniach" — Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota, z muzyką Jerzego Wasowskiego, ale jakże zmieniona. Nieco naiwna fabuła ograniczona została do kilku ciekawszych i bogatszych dramaturgicznie scenicznych obrazów. Dotyczyły one sytuacji panującej wówczas w lubelskiej rozgłośni radiowej w 1944 roku, uwzględnione zostały także sceny mówiące o radiowej skrzynce poszukiwań zaginionych m. in. przez matkę Kowalską i przebranego za księdza Żyda vel Jakuba Goldbauma. Widowisko zakończyła wzruszająca scena, w której to dwójka radiowych spikerów zwiastuje zebranym pod głośnikiem tłumom, że Polska jest w o l n a.

Z „Ballady" twórcy widowiska wybrali także kilka pełnych uroku i melodyjnych piosenek. Aż szkoda że tych „chwytających za serce" songów było tak mało. Z powodzeniem mogły zostać włączone do widowiska jeszcze niektóre sceny z omawianej sztuki. Pomijając nie najlepszy wątek miłosny, znalazłoby się w „Balladzie" jeszcze kilka scen interesujących i wzbogacających treściowo widowisko.

„Balladę o tamtych dniach" w reżyserii Czesława Staszewskiego wzbogacono wstawkami filmowymi (fragmenty kronik i wojennych filmów) oraz recytacją wierszy współczesnych poetów polskich. Reżyser nie ograniczył się jedynie do własnego zespołu aktorskiego, wprowadził na scenę sporą grupę statystów, składającą się z żołnierzy i miejscowej ludności. To nieco ryzykowne przedsięwzięcie uwieńczone zostało sukcesem. Wszyscy statyści byli niezmiernie przejęci powierzonym im zadaniem, a niektórzy dzięki szczerości i bezpośredniości gry stanowili żywe portrety ludzi z „tamtych dni". Całość widowiska uzupełniały liczne efekty pirotechniczne: strzały karabinowe, wybuchy pocisków, wreszcie rakiety.

Szczególnie utkwiła w pamięci widzów scena palenia zniewidzonych flag z hitlerowską swastyką i zastąpienie ich biało-czerwonymi chorągiewkami.

Szkoda tylko, że w tym na prawdę udanym widowisku zabrakło na zakończenie mocnego akordu. Różnokolorowe rakiety i kłaniający się publiczności tłum wykonawców nie wystarczał do spotęgowania zamierzonego efektu, który zostałby w pełni osiągnięty gdyby nie zabrakło... piosenki. Ma ła rzecz, a przecież tak bardzo jej brakowało. Nienaturalnie i smutnie jakoś wyglądał barwny korowód opuszczający w milczeniu scenę. Gdyby reżyser przesunął hymn narodowy właśnie na zakończenie (był on odśpiewany nieco wcześniej), albo włączył „okle paną" już trochę, lecz jakże piękną piosenkę o ukochanym kraju, efekt byłby znacznie lepszy. Zresztą widownia także odczuła ten brak mocnego, końcowego akordu. Ludzie ociągali się jakoś z powstawaniem z miejsc i opuszczaniem placu. Wyraźnie czekali na coś jeszcze, jakiś dalszy ciąg. Po prostu czuli pewien niedosyt. Oto, przykład, ile dobrego może zrobić albo też zepsuć cały efekt jedna mała rzecz — w tym przypadku piosenka, a raczej jej brak. Mimo to, było w tym niełatwym do „zrobienia" widowisku wiele dobrego.

Przede wszystkim ograniczenie tekstu na korzyść widowiskowości, żywa i dynamicznie toczące się akcja, pełne ekspresji wykonanie piosenek i wierszy, dobra gra zespołu aktorskiego (należy tu wziąć pod uwagę utrudnioną sytuację aktorów w związku z nagraniem dialogów na playbeck, co było zresztą konieczne dla uzyskania dobrej słyszalności). Urozmaicenie wniosły filmowe wstawki będące jakby wspomnieniami o tamtych dniach. Widowisko dostarczyło publiczności wiele wartości poznawczych i sporo wzruszeń. Starszych skłaniało do refleksji i wspomnień, dla młodych było ciekawą i żywą lekcją historii Polski. Wierzyło się, że wykonawcy naprawdę przeżywają kolejne etapy wojny — od poniżenia i wiecznego, paraliżującego strachu, niepewności i nieśmiałej jeszcze nadziei aż do poczucia zupełnego bezpieczeństwa i wybuchu żywiołowej radości z powodu zakończenia wojny.

Wszystko to tym większe budziło refleksje, że właśnie w Radomsku w roku 1944 odbyło się konspiracyjne posiedzenie WRN. Tak więc widowisko Teatru Ziemi Łódzkiej było godnym i trafnym zakończeniem wojewódzkich obchodów 25-lecia PRL.

Na zakończenie trzeba podać, że TZŁ przygotował aż trzy wersje „Ballady o tamtych dniach". Pierwsza — sceniczna przeznaczona do grania w zamkniętych pomieszczeniach; druga — przygotowana specjalnie na uroczystość radomską; i wreszcie trzecia — plenerowa, gdy przedstawienia odbywają się na różnych placach, w muszlach koncertowych itp. Zespół TZŁ nie zadowala się dawaniem przedstawień wyłącznie w salach i przygotowuje na okres letni wersje sztuk przeznaczone właśnie do gry w plenerze. „Stworzyć pod gołym niebem wielki amfiteatr dla tysięcy widzów, taki, jaki ongi Rzymianie budowali: wśród kwitnących drzew i zielonych pagórków, pod żywym niebem ojczyzny, przed niezliczonymi tłumami... grać dramy, które podnosić będą naród na duchu i krzepić upadłe serca" (Wojciech Bogusławski) — oto jaki program postanowili realizować ludzie tego teatru.

TP OBIEKTYW

Świadek dramatycznych zdarzeń

Jeśli program lipcowy w ogólnym rachunku telewidzowie nie uważają za jałowy, to głównie dzięki sprawozdaniom z wielkich wydarzeń. Na czoło wysuwały się tu relacje z kolejnych etapów lotu księżycowego rakiety „Apollo-11", włącznie z nocną transmisją ze spaceru selenonautów po dalekim globie, która miała coś z baśni. Obok tego bogata panorama obchodów 25-lecia Polski Ludowej z imponującą defiladą wojskową w Warszawie.

Ale to były sprawozdania z wydarzeń zaplanowanych, których terminy były uprzednio ustalone. Inna relacja służby sprawozdawczej telewizji godna jest szczególnego podkreślenia, gdyż dotyczyła zdarzenia nieoczekiwanego i pełnego dramatycznego napięcia. W dniu 27 lipca, w niewiele godzin po zakończeniu akcji ratowniczej w kopalni „Generał Zawadzki" w Dąbrowie Górniczej, Telewizja Katowice nadała sprawozdanie filmowe z trwającej ponad trzy doby walki o życie 118 górników.

Rozmiary katastrofy były wielkie, a liczba górników, którym groziła śmierć, wyjątkowo wysoka. Cały kraj zwrócił oczy na Dąbrowę Górniczą, gdzie dzień i noc trwały nieludzkie zmagania z żywiołem. Imponująca była przy tym nie tylko zdecydowana i rachowa organizacja akcji ratowniczej, ale i ofiarność, z jaką górnicy kopalni „Generał Zawadzki" i innych kopalń nieśli pomoc zagrożonym kolegom.

Nawet 37 górników odkopanych w pierwszym etapie akcji nie pomyślało o odpoczynku, lecz natychmiast ochotniczo włączyło się do akcji. Drużyny ratownicze pracowały w głębi kopalni po kilkanaście godzin, by w stanie kompletnego wyczerpania ustępować dopiero miejsca następnej zmianie. Prac ratowniczych nie wstrzymywano ani na moment.

To co nam pokazała telewizja, choć zarejestrowane na taśmie filmowej, trudno nazwać filmem. Z pojęciem filmu łączy się bowiem pewna zaplanowana konstrukcja, wyważenie dzięki montażowi wewnętrznych proporcji, zrodzona w zamyśle realizatorów dramaturgia. Sprawozdanie filmowe z wypadków w kopalni „Generał Zawadzki" nie miało w sobie nic z tych cech.

Dramaturgię tego sprawozdania dyktowało życie. Ono też narzuciło dramatyczne napięcie w czasie trwania akcji ratowniczej i szczęśliwe zakończenie. Można by więc spytać, czy wobec tego sprawozdawcy telewizyjni mieli tu jakąś zasługę? Otóż tak! Byli świadkami narastających wydarzeń. Musieli z ich chaosu wychwytać istotne elementy, które stworzyłyby w sprawozdaniu filmowym atmosferę odpowiadającą tej, która panowała w rzeczywistości na miejscu wypadku.

Obiektyw kamery zastępował bowiem oczy milionów ludzi w całym kraju, docierał tam, gdzie dostęp był utrudniony, ukazywał ratowników w momencie, gdy winda dopiero co wywiozła ich na powierzchnię. Pytania zadawane górnikom przez sprawozdawców telewizyjnych były bezładne, odpowiedzi były również urywkowe, ale z zarejestrowanych na taśmie filmowej sytuacji przemawiał silnie autentyzm, brak jakiejkolwiek inscenizacji, czy podkoloryzowania relacji.

Nie chodziło o tanią sensacyjność, ani o epatowanie grozą sytuacji. Byłoby to sprzeczne z humanistyczną postawą naszego dziennikarstwa. Ale świadome unikanie przez sprawozdawców telewizyjnych elementu sensacji nie umniejszyło wartości ich pracy. Wydaje się, że trudno przecenić znaczenie wychowawcze sprawozdania z akcji ratowniczej w kopalni „Generał Zawadzki".

Nieraz słyszy się narzekanie na brak ideowego zaangażowania u części naszej młodzieży, na konsumpcyjny stosunek do życia. Jakże pożyteczne więc było dla tego właśnie odłamu młodzieży obejrzenie bezinteresownego i ofiarnego wysiłku ekip ratowniczych! Z ekranów telewizorów powiało duchem solidarności i koleżeństwa odpornego na najcięższą próbę.

Nie było w tej postawie nic z patetyczności, której tak nie lubi współczesna młodzież, nic z tzw. drętwej mowy. Ratowników, których oglądaliśmy na ekranach, cechował spokój i naturalność.

Te wszystkie czynniki spowodowały, że reportaż z akcji ratowniczej stał się na ekranach telewizorów wydarzeniem niezwykłym i niepowtarzalnym. Kulminacyjnym momentem sprawozdania było ukazanie się pierwszych uratowanych górników, którzy przez ponad siedemdziesiąt godzin zamknięci byli w grobie za życia. Ich pojawienie się było symbolem zwycięstwa ludzkiej odwagi i solidarności nad ślepym żywiołem.

Dzięki telewizji mogliśmy wszyscy przeżyć tę wielką chwilę.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Kiedy jesteśmy mali, lubimy bajki. W bajkach występują zawsze złe czarownice i okrutne księżniczki, straszliwi władcy podziemnego świata, którzy mają tysiąc sposobów na swe ofiary. A te ofiary to przeważnie niewinne sierotki, albo nieszczęśliwe królewny, których bronią szlachetni królewicze, dzielni pastuszkowie albo odważni szewcy, a potem się z nimi żenią, albowiem w bajkach demokracja panuje ogromna. Najbardziej lubimy w bajkach to, że się dobrze kończą, że dobro zwycięża zło, że szlachetni ludzie są także mądrzy i sprytni.

A kiedy dorastamy, sprytni ludzie, choć tym razem całkiem realni, dbają o to, byśmy nie zostali pozbawieni bajek, już na miarę naszego wieku i wzrostu. I robią dla nas filmy. Taką bajką jest angielska komedia kryminalna „DAMSKI GANG". Oczywiście na miarę naszego wieku i wieku, w którym żyjemy. Złe czarownice są najpiękniejszymi sex-bombami, mordują bez litości za pomocą najnowocześniejszych środków: bomb zegarowych, śmiercionośnych cygar, torturują przy mocy przyborów do manicure'u w warunkach wysokiego komfortu, z uśmiechem na twarzy. Zły władca — gangster, szef damskiej bandy mieszka w starym zamczysku, ale w środku wszystko jest supernowoczesne, nawet szachy są elektronowe. W charakterze dobrego królewicza występuje leciwy już nieco, ale zabójczy i uwodzicielski detektyw, który ma nie tylko powodzenie u kobiet, ale również wiele szczęścia, sprytu i siły. Jak Zorro pokonuje wszystkich przeciwników i oczywiście wygrywa ten film. Co od początku wiadomo, bo bajka musi się przecież dobrze skończyć.

Szkoda wszakże, że i realizatorzy filmu z reżyserem Ralphem Thomasem na czele i aktorzy z Richardem Johnsonem (detektyw) i dwiema pięknymi morderczyniami (Elke Sommer i Sylva Koscina) potraktowali swoją bajkę tak poważnie. Stąd zapewne przyczyna, że choć film komediowy, zabawy z niego mało. Szczególnie dla widzów-kobiet. Bo panowie z nudów mogą obejrzeć kolekcję pięknych gangsterek wszystkich ras. No i wszyscy mogą zobaczyć z czego śmieją się Anglicy — jeśli oni istotnie z tego się śmieją.

Inną próbką angielskiego humoru jest film określony jako farsa — „KOWBOJU, DO DZIEŁA!" w reżyserii Geralda Thomasa. Jest to parodia westernu, gęsto szpikowana nie tyle zabawnymi co prymitywnymi gagami, żywo przypominającymi gatunek humoru filmu niemego z czasów Chaplina oraz Flipa i Flapa. Tyle że w kolorach, nowoczesnej technice i z pełnym wykorzystaniem dźwięku, głównie strzelaniny. Przyznać trzeba, że dialogi są na ogół dość dowcipne, choć czasem niewybredne. Na korzyść tego gatunku z jego chaplinowskich początków przemawia, że nierzadko zawierał pewne nutki liryzmu i ciepła, których trudno by się w „Kowboju" doszukać.

Film należy do serii, w której wyszło już kilkanaście pozycji parodiujących różne gatunki filmowe, stosunki społeczne itd. Realizuje je ta sama ekipa filmowa, wszystkie filmy noszą tytuł zaczynający się od „Carry on..." (omawiany nosi tytuł oryginalny „Carry on, Cowboy"), a wszystkie cieszą się ogromnym powodzeniem. Zapewne powodzenie nie jest proporcjonalne do wartości filmów, więc teoretycy w sposób naukowy starają się uzasadnić to zjawisko doszukując się źródeł powstania i przyczyn sukcesów. Źródeł powstania w tradycjach music-hallu z początków XX wieku — miejsc popularnej rozrywki, z których wyszli Charlie Chaplin i Stan Laurer, zaś przyczyny powodzenia w znużeniu widzów finezyjnym dowcipem intelektualnym. Publiczność chce do śmiechu czegoś prostszego, mniej skomplikowanego, powrotu do humoru plebejskiego. Wydaje się, że te rozważania są o tyle słuszne, o ile potwierdzają fakt, że po prostu dowcip sytuacyjny w swej najprymitywniejszej formie przetrwał zwycięsko wszystkie zdobycze intelektu i że wiele jeszcze pokoleń będzie bawić się tym gatunkiem.

Zresztą, film jest istotnie zabawny jako parodia. Zbudowanie fabuły wokół perypetii pełnego entuzjazmu dla swego zawodu młodego hydraulika, którego przez nieporozumienie uczyniono szeryfem w małym miasteczku, opanowanym przez znanego gangstera i jego bandę, dostarcza okazji do wielu zabawnych spięć. Zwłaszcza jeśli taki szeryf nie lubi i nie umie strzelać. I na dodatek musi pokonać przeciwników.

Tego lata w kinach jest bardzo głośno, pistolety pracują dzielnie, a trup się gęsto ściele. Ku wakacyjnej rozrywce.

ZASTĘPCA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

„WYPRAWA ALEKSANDRA"

Aleksander, o którym mówimy, nie ma nic wspólnego z wodzem starożytności, Aleksandrem Wielkim i jego wyprawami wojennymi.

Ten Aleksander jest sympatyczną laleczką o zadartym nosku i inteligentnym wyrazie twarzy. Jest on głównym bohaterem i ważną postacią teatru marionetek, z którym francuski lalkarz Philippe Genty w ciągu czterech lat objechał niemal cały świat. Tak więc Aleksander ze swym twórcą i animatorem przemierzył cztery kontynenty, dziewięć pustyń, odwiedził, wśród najrozmaitszych przygód, trzydzieści cztery kraje.

Historia tej podróży zaczęła się kilka lat temu, kiedy to Genty postanowił się wybrać w świat ze swymi marionetkami. Dla swych zamierzeń uzyskał pomoc zarówno UNESCO, jak i niektórych instytucji kulturalnych we Francji. Genty poznał w podróży trzy tysiące lalkarzy z całego świata wymieniając z nimi swe doświadczenia w prowadzeniu teatru lalek. W Panamie przyłączył się do Genty'ego fotograf, filmowiec i aktor Yves Brunier i dzięki niemu pasjonujące przygody ekipy marionetkowej zostały utrwalone na filmie. Ekipa odwiedziła plemiona nomadów w Pakistanie, była wśród Indian w Peru, dawała przedstawienia wśród tubylczej ludności Australii. Występowano przed widzami zarówno w wielkich miastach, w najbardziej luksusowych salach widowiskowych, jak i w warunkach zupełnego prymitywu, na wolnym powietrzu.

W Japonii przyłączyła się do grupy Japonka Miczico Tagawa ze swymi marionetkami. Zespół przyjmowany był wszędzie z dużym zainteresowaniem, bo wiem teatr lalek przemawiać może do każdego, a lalki przekazać mogą treści nawet bez słów. W teatrze lalek, tym najstarszym z teatrów, jest miejsce na realizm i fantastykę, na mity i starodawne podania, jak i na zagadnienia najbardziej współczesne. Lalki wyrazić potrafią wszystkie ludzkie uczucia, szczęście człowieka i jego tragedię.

Przygody ekipy pod kierownictwem Philippe'a Genty były najrozmaitsze. Brnęła ona przez błoto i kurz, przez kamieniste drogi i pustynie. W San Jose w Costa Rica Genty i jego towarzysze podeszli blisko wulkanu Irazu, który każdego roku wyrzuca z siebie 40 tysięcy ton popiołu, tym razem niewiele brakowało by runęły na nich kamienie wyrzucone przez wulkan, w Peru podczas przedstawienia przeżyli trzęsienie ziemi, w Australii zagroziła im powódź, a kiedy w Meksyku grali sztukę, gdzie lalki uosabiały walkę Złego i Dobrego, jakiś krewki Metys, rzucił nożem w lalkę, przedstawiającą Zło, z taką siłą, że nóż ze świstem przeleciał przez widownię i utkwił w dekoracji o dziesięć centymentrów od artysty poruszającego lalką. W Arizonie w Parku Narodowym zespół dostał się w teren piasków ruchomych i dopiero policyjny śmigłowiec nakazał im odwrót przy zachowaniu największej ostrożności. Przygody ekipy Genty'ego, sfilmowane przez Yves Brunier, nadaje francuska TV w seriach w filmie zatytułowanym „Podróż marionetek dookoła świata".

ZMARŁ GUILHERMO DE ALMEIDA

W wieku lat 75, zmarł brazylijski poeta Guilhermo de Almeida, szczycący się tytułem „księcia poetów brazylijskich". W młodości swej był inicjatorem i działaczem ruchu modernistów w Sao Paulo. Prócz własnej, postępowej twórczości Guilhermo de Almeida był tłumaczem na język portugalski m. in. utworów Rabindranatha Tagore, Baudelaire'a i Verlaine'a.

„GŁOS Z WIĘZIENIA" ALBERTYNY SARRAZIN

Wielokrotnie na tym miejscu pisaliśmy o Albertynie Sarrazin, utalentowanej pisarce, byłej więźniarce, której powieści „L'Astragale" i „La Cavale", stały się ważnym wydarzeniem w paryskim życiu literackim. Jak wiadomo Alberty na Sarrazin zmarła podczas operacji szpitalnej 10 lipca 1967 roku.

Albertyna po wyjściu z więzienia, osiągnąwszy już sławę literacką spotkała na swej drodze życia kobietę, której dzieciństwo było tragiczne. Kobietą tą była Myriam Anissimov, urodzona pod koniec wojny w jednym z obozów. Zaprzyjaźniwszy się z Myriam, która miała piękny głos, Alberty na napisała poematy, które miała śpiewać jej przyjaciółka. Wspólnie marzyły o tym, aby utwory te nagrać na płytę. Obecnie, w dwa lata po śmierci Albertyny, zamiar ten został zrealizowany. Niektóre wiersze Albertyny Myriam recytuje, inne śpiewa. Płyta ukazała się w sprzedaży i zdobyła uznanie krytyki, która podkreśla duży talent interpretatorski Myriam oraz wzruszenie, jakie wywołują teksty zmarłej przedwcześnie Albertyny Sarrazin.

„TRATWA MEDUZY"

Jednym z najbardziej znanych i typowych dla twórczości Theodore Gericaulta, jest jego obraz zatytułowany „Tratwa Meduzy". Płótno przedstawia tragiczną grupę rozbitków na tratwie zalewanej przez fale wzburzonego morza. Ktoś dostrzega na horyzoncie plamkę nadpływającego okrętu. Jeśli nie jest to tylko złudzenie, rozbitkowie, którzy walczą o życie ostatkami sił, mogą zostać uratowani.

Tytuł tego obrazu stał się również tytułem nowej powieści Vercorsa, autora m. in. słynnego „Milczenia morza" i interesującej, pogłębionej filozoficznie książki pt. „Zwierzęta niezwierzęta".

„Tratwa Meduzy" najnowsza powieść Vercorsa, jest jakby odtworzeniem nagranych na taśmę magnetofonową wyznań bohatera powieściowego, pisarza Frederica Legranda. Ów bohater, zdanie po zdaniu, wyjawia czytelnikowi swe przeżycia, odsłaniając swą psychikę, sięgając pamięcią do wczesnych lat dzieciństwa i oskarża swe najbliższe otoczenie o wpajanie mu poglądów nieprawdziwych lub szkodliwych. Książka Vercorsa jest wyrazem buntu przeciw środowisku mieszczańskiemu i jego metodom wychowawczym, choć, jak to podkreśla krytyka, bunt bohatera nie jest ani zbyt głęboki, ani bohater powieści nie budzi zbytniego szacunku i sympatii u czytelnika.

ZAWSZE PICASSO

— pod takim tytułem paryski dziennik „Le Figaro" omawia m. in. album zawierający 405 rysunków Picassa z okresu czasu od 27 marca 1966 roku do 15 marca 1968 roku, a zatytułowany „Picasso, rysunki". Album poprzedza przedmowa Rene Chara. Charakterystyczne, że ostatni rysunek kolorowy jest z sierpnia 1967 roku, następne to wyłącznie czarno-białe.

Od niedzieli do niedzieli

KSIĄŻKA NA ULICY!

LITERATURA NA STRAGANIE — NIEWYMIERNE EFEKTY — 266 TYSIĘCY — ZA DUŻO SZCZĘŚCIA? — TRAWKA WAŻNIEJSZA

Stare rosyjskie przysłowie mówi, że „Boh trojcu lubit". Co prawda przysłowie dotyczy spraw raczej biesiadnych, ale można jego sens przenieść także i na inne dziedziny. Wiadomo — trzy to zawsze więcej niż jeden.

Dlatego też chcę pisać o sprawie, która pozornie wydawać by się mogła już przebrzmiała, a mianowicie o kiermaszach organizowanych przez firmę „Dom Książki". Musztarda po obiedzie — powie ktoś niezorientowany — przecież tradycyjne kiermasze są w maju, a tu już początek sierpnia. Otóż to! „Boh trojcu lubit".

„Dom Książki" także — i właśnie przed paroma dniami zakończyła się wielka społeczna akcja książkowych kiermaszy — akcja trwająca nie tylko w maju, ale także w czerwcu i lipcu. Trzy miesiące zatem.

W ciągu tych trzech miesięcy „Dom Książki" razem ze Stowarzyszeniem Księgarzy Polskich rozwinął akcję upowszechniania literatury — wyprowadził książki na ulice i do parków. Łódzcy księgarze pracowali przy kiermaszowych stoiskach w czynie społecznym, rezygnując z przysługujących im prowizji — przeznaczając ową prowizję na cele społeczne.

Efekty tej trzymiesięcznej kampanii księgarskiej są rzecz prosta niewymierne. Jaką bowiem miarą liczyć zwiększone zainteresowanie książką, jakim centymetrem obliczyć Czytelników „zarażonych" pasją czytania, jak określić wskaźnik wzrostu prywatnych, domowych bibliotek w mieszkaniach Łodzi i województwa?

Liczby mogą dać obraz zaledwie przybliżony, mogą określić rząd wielkości... Nie rezygnujmy więc z liczb. Tak więc w społecznym czynie „Domu Książki" i Stowarzyszenia Księgarzy Polskich zorganizowano dwadzieścia jeden kiermaszy z czego pięć w Łodzi, a szesnaście na terenie województwa. Propozycje właściwe — zważywszy, że w Łodzi księgarń jest niemało i trudno właściwie w ciągu dnia nie natknąć się na księgarską witrynę. Gorzej wygląda to, rzecz prosta, w województwie, stąd trzykrotnie większa ilość organizowanych tam kiermaszy.

Napisałem wyżej, że efekty tej trzymiesięcznej kampanii księgarskiej są trudno wymierne. To prawda, ale gdyby się uprzeć, można jednak przyjąć, żeśmy się dodatkowo „ukulturalnili" za całe 266 tysięcy złotych. Za taką bowiem sumę kupiono książek na parkowych stoiskach i ulicznych straganach w ciągu trzech miesięcy kampanii.

Niestety — nigdy nie może być za dużo szczęścia na raz. Tak i w tym wypadku te same cyfry z jednej strony cieszą — z drugiej martwią. Jak się więc rzekło, w Łodzi zorganizowano pięć kiermaszy — łodzianie kupili książek za 218 tys. zł. W województwie natomiast zorganizowano 16 kiermaszy na których kupiono książek za... 48 tys. zł. Dysproporcja wyraźna i świadcząca, że za granicami Łodzi jest wiele jeszcze do zrobienia w dziele upowszechnienia książki.

Realne i łatwo przeliczalne na złotówki są społeczne korzyści księgarskiej akcji. W ciągu tych trzech miesięcy prowizja ze sprzedaży książek w stoiskach urosła do ponad 30 tysięcy złotych. Całą sumę przekazano na cele kulturalne, socjalne i społeczne. Za czternaście tysięcy zakupiono książek dla bibliotek, szkół i domów dziecka — resztę przeznaczono do dyspozycji Stowarzyszenia Księgarzy Polskich i rady zakładowej „Domu Książki".

Podsumowanie księgarskiej kampanii wypada więc imponująco. Nie wszystko to oczywiście wyglądało w realizacji tak prosto i bezkolizyjnie. Okazało się mianowicie, że w dziele upowszechnienia książki swój niemały udział ma... Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze. Tak, tak — to nie pomyłka. Chodzi o to samo przedsiębiorstwo, które od lat upowszechnia poezję dydaktyczną dzięki tablicom z napisami: „Pamiętajcie o tym dzieci — brak zieleni miasto szpeci" lub „Zieleń zdobi, daje zdrowie — szanuj ją"... W pierwszym wypadku mamy do czynienia z wersyfikacją tradycyjną — w drugim z nowoczesną.

Otóż okazuje się, że organizując kiermasze książek nie wystarczają zezwolenia władz miasta, ale wymagana jest zgoda ŁPO. Miłe to przedsiębiorstwo bardziej jednak ceni trawkę niż potrzeby kulturalnej polityki. Stąd moc kłopotów, które stały się udziałem organizatorów księgarskiej kampanii. Ale kiermasze mamy już za sobą — trawka rośnie, książki trafiły do Czytelnika. Udał się więc ten wiosenno- letni kwartał księgarski!

JERZY WIDOK

Bez strachu

DAWNE MIESZKANIE

To już od trzydziestu trzech lat mieszkam gdzie indziej, inaczej, w innych przestrzeniach, pokojach, zapachach. Podobno ten dom przy ulicy Głównej, drugi dom mojego życia, mają zburzyć, poszedłem więc aby obejrzeć dawny dom, dawne mieszkanie... Stanąłem u skraju bramy, to było tam, na drugim piętrze. Może tam zapukam i wejdę... Może powiem: „Ja to mieszkanie opisałem w książce... bo ja piszę książki... niektóre mi nawet wydrukowali..." Może powiem „Czy to mieszkanie jest teraz zimne, bo kiedyś było bardzo zimne... Na ścianach klatki schodowej wymalowane były róże, których już nie ma, była tam plama pozostawiona przez niezręcznego malarza. Siedziałem kiedyś na schodach i myślałem, że pamiętam tę plamę, niczego bowiem nie wolno zapominać..." Może powiem: „Był tutaj dozorca, który umarł na gruźlicę i wszystkie jego dzieci umarły na gruźlicę, bo wtedy jeszcze nie umiano leczyć tej choroby. Pamiętam dzieci, jak boso, w koszulach, szły długim szeregiem, od najniższego do najwyższego dziecka, szły na niezmiernie długich i cienkich nogach, a twarze miały nieznośnie ptasie, umierały kolejno, ale mnie się wydawało, że nagle wyszły ze świata, jak ze strzówki..." Może powiem: „Tylko Zygmunt — syn dozorcy był silny i żwawy, bo z Zygmuntem przechodziłem wtajemniczenia we wszelkie, znane tylko dzieciom podwórzowe misteria-symbole faz rozwojowych ludzkości, faza podwórzowych kamieni, podwórzowych procarzy, łuków i strzał, bitew ludożerczych i bitew, w których chodziło o zdobycie niewolników, sposobnych do pracy, fazę magii, kiedy miarowe, podwórzowe pokrzykiwania miały zastąpić czyny, przekształcać materię..." Może powiem: „o Romku, którego tata miał prawdziwy rewolwer, kiedy tata wychodził z domu, Romek wyjmował z szuflady rewolwer i celował we mnie, a ja wtedy nie bałem się własnej śmierci, tak jakby cała siła umierania tego domu skupiła się na synach dozorcy..." Może powiem... Nie, nic nie powiem — nie wejdę do mieszkania. Minęły trzydzieści trzy lata i siłuję się z ulicy łoskot kruszonych murów — ci moi pomieszkańcy jeszcze siedzą w pokojach, w ścianach, które kiedyś będą tylko ścianami ich pamięci. Po co mówić im o drobnych fragmentach przeszłości i cóż ja zobaczę w tych pokojach skazanych na upadek... Cztery okna, w których jedno „weneckie" mawiałem kiedyś... Dom i podwórko były osobliwie ciche, tak jakby wszyscy odeszli lub zasnęli. A jednak, po chwili poczułem, że ktoś na mnie patrzy. Podniosłem głowę — na pokrytym blachą parapecie okna stał spokojnie mały czarny piesek. Wydawał mi się dobrym czarnym duszkiem domu, a przecież wyrywał się z mieszkania, wydawało się, że ześliznie się do przodu i runie w przestrzeń niezależny od murów, patrzący ponad czasem...

BERNARD SZTAJNERT

RICHARD DENNING

ETYKA

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

— Pociągnąć Gypa Fallona jako pozwanego do sądu? To tak, jakbym chciał popełnić samobójstwo.

Tu miał rację. Gyp Fallon był szefem dość dużego gangu. Ja się go nie obawiałem, bo nikt nie zaczepia ludzi Aranżera.

— No, to czego jej nie przepędzisz i niech się przeprowadzi na stałe do Fallona?

— Bo mam kogoś na oku. I stracę ją, jeżeli nie uwolnię się legalnie od Joan. Joan zgodziłaby się na rozwód za obopólną zgodą, ale chciałaby więcej forsy, niż ja posiadam.

— A z czego masz zamiar mi zapłacić?

— O, trochę forsy mam w banku, a resztę dopożyczę.

Zamyśliłem się. Gypa Fallona bym nie ruszył bez zezwolenia Aranżera, ale Joan nie była nikim ważnym i oprócz Fallona nikt by się nie interesował jej losem.

Podałem Thomasowi świeżo napełniony kieliszek.

— Kiedy przyjdzie pan z pieniędzmi?

— A kiedy wykona pan zlecenie?

— Zapłaci mi pan z góry. Inne warunki omówimy później.

— A jeżeli coś się nie uda?

— Zawsze się udaje. Gdybym jakimś cudem nie wykonał zadania, dostanie pan całą sumę z powrotem. Czysty cios lub zwrot całej forsy. Nigdy nie pracuję inaczej. Jeśli się panu moje warunki nie podobają, niech pan poszuka sobie kogoś innego.

— Dobrze, dobrze. W piątek po południu?

Na piątek wieczór miałem zaplanowane tamto zlecenie.

— Niech pan przyjdzie przed piątą i przyniesie całą sumę w stówkach.

* * *

Tego wieczoru, po północy, poszedłem na mały rekonesans według adresu podanego mi przez Aranżera.

Ulica była pusta. Kluczem Yale otworzyłem mieszkanie 3-c. Składało się z frontowego pokoju, kuchni, sypialni i kąpielowego. Nie było drzwi kuchennych — co mi się nie bardzo podobało, zawsze lepiej mieć dwie możliwości wyjścia do wyboru. Ale nigdy nie było kłopotów, gdy Aranżer sam coś planował. Nie miałem więc o co się martwić.

Nie zdejmując cienkich skórzanych rękawiczek wyjąłem automatyczny rewolwer, kaliber 38, z tłumikiem i włożyłem do jednej z szuflad komody. Rewolwer może zwrócić czyjąś uwagę, bo wypycha kieszeń, wolałem więc, aby leżał w pogotowiu na wieczór, kiedy będzie mi potrzebny.

Obejrzawszy dokładnie mieszkanie opuściłem je również niepostrzeżenie jak do niego wszedłem.

Około 4 po południu Joye Thomas przyszedł z pieniędzmi. Schowałem je do pasa, który nosiłem na sobie.

— All right. Teraz opowiedz mi o swojej żonie.

— W dzień jest przeważnie sama, a w piątek na pewno, bo myje włosy i układa sobie loki.

— Dobrze. A jak wygląda wasze mieszkanie?

Opisał je dokładnie. Znajdowało się w wielkiej kamienicy, gdzie nie mogłem zwrócić niczyjej uwagi.

— Ma pan zapasowy klucz?

— A glina nie zdziwi się, że pan miał klucz?

— Nie dowiedzą się o tym. Pomyślą że zadzwoniłem i ona sama otworzyła mi drzwi.

Dał mi więc klucz.

— Pamiętaj, abyś miał murowane alibi. Najlepiej wyjedź na parę dni na Miami i urządź się, aby cię dużo ludzi tam widziało.

— Mogę to zrobić. Joan się pewnie ucieszy, gdy się mnie pozbędzie na kilka dni. Będzie mogła przez cały tydzień nocować u Fallona.

— Więcej tu nie przychodź i nie telefonuj do mnie. Od tej chwili więcej się nie znamy.

— Dobrze — cieszył się.

W piątek po południu, zgodnie z umową, przyniósł całą sumę... Wyszedłem wcześnie z domu i udałem się do wskazanego mi przez Aranżera mieszkania. Była 6.30. Wyjąłem rewolwer z tłumikiem z szuflady i zabrałem się do pierwszego pokoju.

Usiadłem na fotelu naprzeciwko drzwi i ustawiłem małą lampę tak, aby oświetlała miejsce. Rewolwer położyłem obok siebie. Siedziałem spokojnie, cierpliwość jest cechą mojego zawodu.

Dokładnie o 8.30 zadzwoniono.

— Proszę wejść — rewolwer trzymałem ukryty pod gazetą.

Wszedł mężczyzna w cylindrze i zmrużył oczy oślepione ostrym światłem lampy.

Ku mojemu zdziwieniu był to Joye Thomas.

— Co u licha robi pan tutaj?. — spytałem.

— Mógłbym panu postawić to samo pytanie.

Było zabawne, że plany Aranżera wobec Thomasa były jdentyczne z jego planami wobec żony, ale ja nie lubię komplikacji. Powiedziałem:

— Niech pan siada. Mamy trudny problem do rozwiązania.

Usiadł i nagle zrozumiał na czym polega problem. Twarz mu poszarzała. Zaczął się podnosić z krzesła, ale pokazałem mu rewolwer, więc usiadł z powrotem.

— Jestem przyzwoitym człowiekiem, Joye — powiedziałem — nie wiedziałem, że to o pana chodzi. Nie mogę zabić mego własnego klienta, ale nie mogę też nie wykonać zlecenia dla Aranżera. Paskudna historia.

Nie opuszczając rewolweru wyjąłem lewą ręką całą forsę, jaką mi dał Thomas.

— Przelicz — rozkazałem.

— No, to jest to co panu przyniosłem. Niech pan włoży do swojej kieszeni.

Teraz zrozumiał o co chodzi.

— Nie, Speck! Mamy kontrakt. Jestem pana klientem. Sam pan tak powiedział!

— Oddałem forsę, więc nie jest pan już klientem. Mówiłem przecież, że tak zrobię o ile nie wykonam zadania. Nie jest pan już moim klientem.

Dźwięk nie był głośniejszy, niż gdyby pękł balon.

W moich instrukcjach było powiedziane, że nie muszę robić porządków. Zostawiłem więc trupa, tak jak leżał. Tylko wyjąłem mu pieniądze z kieszeni.

Nie jest przecież nieetyczne, aby zabrać forsę komuś, kto jest zmarłym, niedoszłym klientem. Prawda?

(opr. h)

LEO DALMORE

SKOK

Wszystko zaczęło się od dyskusji. Była to właściwie prosta rozbieżność zdań, jaka powstała w czasie obiadu na temat pewnego artykułu.

Siedzieli na werandzie, która wychodziła na plac wyłożony marmurowymi płytami. Pośrodku placu mieścił się obszerny basen otoczony grecką kolumnadą i zielenią wspaniałego ogrodu. W dali na horyzoncie widać było góry wznoszące się posępnie ku niebu nad rozległą pustynią.

Nieco później, gdy już zapadł zmierzch i przeszli do biblioteki, dyskusja rozgorzała na nowo, teraz już gwałtowniejsza.

Alex Nicholson na próżno usiłował utrzymać nastrój spokoju. Prowdopodobnie jest to tylko interesująca teoria i nic więcej — perswadował cichym głosem.

Lecz teraz było już za późno.

Borden Struther nie należał do ludzi, którzy godzą się z tym, że przeciwnik łatwo wybrnie z zawikłanej sytuacji.

— Według mego zdania to jest idiotyzm — twierdził z pasją — i tylko idiotyzm!

Podczas ostatniej godziny dyskusji głos Bordena stał się szorstki i uszczypliwy. Wypił już wiele koniaku, jego szeroka twarz pałała.

Borden, pięćdziesięcioletni wysoki mężczyzna, był typem dumnego i zarozumiałego człowieka. Stał teraz oparty o kominek. Nosił koszulę w czarno-białe kwadraty, spodnie z wypłowiałej bawełny i plecione ze sznurka pantofle.

Alex nic nie odpowiedział, nastąpiła chwila ciszy. Borden znów napełnił kieliszek.

Nikt tak łatwo nie obraża się i nie gromadzi w sobie tyle zaciętości, co Borden Struther — myślał Alex. Znał dobrze tę jego słabą stronę. Wydawało się, że Borden lubił stany wściekłości, miał bowiem sposobność wyładowania swej arogancji, mógł okazać jak jest potężny i zawsze zwyciężski.

Wyzwał nawet i pokonał przyrodę, zabierając jej siedem akrów jałowej pustyni, gdzie wbrew wszelkim przeszkodom wybudował dla siebie wspaniałą siedzibę. I oto wśród pustyni zazieleniła się ziemia. Zwieziono tu bryły urodzajnej gleby. Podziemna sieć skomplikowanych rurociągów dostarczała ogrodom stałego zapasu wody i środków użyźniających.

Basen był wspaniały, szeroki jak rzymskie termy i dość głęboki, aby właściciel mógł sobie pozwolić na założenie wysokiej trampoliny. Borden lubił żyć wystawnie i z pewną perwersją opróżniał basen co tydzień z drogocennej na pustyni wody, aby usunąć z dna piasek i rośliny.

Alex musiał przyznać, choć niechętnie, że Borden jest jednostką wybitną pod wieloma względami. Znając jego mściwy charakter, był teraz ciekawy jaki obrót przyjmie dyskusja, co Borden wymyśli, aby ukarać bezczelność człowieka, który odważył się podtrzymywać odmienną tezę.

— Nie warto dyskutować dłużej na ten temat — Alex próbował zakończyć sprawę ugodowo. — Autor artykułu, który przedstawiłem, chce wykazać, że niekiedy utrata jakiejś zdolności może mieć negatywny wpływ na pewne czynności człowieka, które wydawałoby się, są niezależne od owej zdolności. Na przykład chociaż słuch nie jest bezpośrednio związany z faktem prowadzenia samochodu, jednak osobnik, który stracił słuch czuje potem, że zmniejszyła się jego zdolność kierowcy — właśnie z tej przyczyny. Także utrata wzroku — według autora — może mieć negatywne skutki na umiejętność pływania chociaż wzrok nie jest zbyt zaangażowany w tym sporcie.

Wyobrażam sobie, że działają tu także czynniki psychologiczne — dodał — ale chyba sprawą najważniejszą jest uczucie równowagi, które uległoby zakłóceniu u ślepego pływaka.

Borden Struther był doskonałym pływakiem. Lubił dawać pokazy swej zręczności skacząc z trampoliny. I dlatego podany przez Alexa przykład, wiążący się z pływaniem, wzbudził jego gwałtowną reakcję.

— Jak widzę, chcesz insynuować, że gdybym oślepł, nie umiałbym już pływać? — zapytał sarkastycznym tonem. — Nawet przy zasłoniętych oczach?

— Nie, tego nie powiedziałem — odparł Alex ostrożnie i dodał: — Ale ślepota mogłaby zmniejszyć twoją... twoją odwagę, powiedzmy. Artykuł podkreślał, że istnieją różnice indywidualne, naturalnie...

Dalszy ciąg nastąpi

Fot. A. Wach

Lewym okiem

JAKI ŚLICZNY KICIUŚ

W pewnym oknie wystawowym przy ul. Piotrkowskiej posadzono kiedyś pełen wdzięku manekin dziewczęcy, z długimi rzęsami, w króciutkiej spódniczce, z małym kotkiem na kolanach i z tuzinem różnych jubilerskich delikatesów na szyi. Przy wystawie tej zatrzymało się troje ludzi: pan, pani i dziewczynka. Sygnał do zatrzymania się dał tatuś okrzykiem: jaka fajna babka! Na co córeczka: jaki śliczny kiciuś! A znów mamusia: cóż za piękna biżuteria! No i macie gotowy temat do całej psychologicznej rozprawki: co kogo najbardziej interesuje? Wystawa była pomyślana jako reklama jubilerska. Była to świetna reklama: interesowała, jak widzimy, wszystkich.

W dobrym, choć trochę na skandynawską modę udziwnionym filmie francusko-szwedzkim „Męski—żeński" młody socjolog zadaje nieoczekiwane pytania pięknej dziewczynie: co pani sądzi o Wietnamie? — To mnie pan pyta? Serio? — A co pani myśli o kwestii murzyńskiej? O regulacji urodzin? Czym pani się interesuje? Odpowiedź: mnóstwem rzeczy oprócz polityki. — Czym na przykład? — Nno... (bezradny uśmiech)... Na przykład... (przepraszający uśmiech)... — Wieloma rzeczami, na przykład... Trudno tak z pamięci, wie pan... Trudno spamiętać, a może trudno sprecyzować, a może w ogóle nigdy się o tym nie myślało. Po cóż interesować się własnymi zainteresowaniami? Czeka się, co przyniesie chwila, z lawiny informacji i faktów raz się wybierze to, raz tamto, koń, drzewo, Staś... Interesować się — to znaczy szukać, dociekać, pytać. Czy ktokolwiek zdąży jeszcze o cokolwiek zapytać?

Kiedyś klasycy ekonomii twierdzili, że dobra powstają dla zaspokojenia potrzeb. A przecież w przodujących technicznie krajach świata jest już od dawna odwrotnie: wytworzone dobra wywołują potrzebę. Podaż wyprzedza popyt. Najpierw ktoś wymyśla jo-jo albo hula-hop albo gumę do żucia, a potem wmawia ludziom, że tego potrzebują. Tak samo dzieje się z tysiącami kosmetyków, osobnych przed myciem, po myciu, zamiast mycia, zimą, latem, w windzie i przez sen. Tak samo z elektryczną szczoteczką do zębów, z tysiącem przeróżnych „gadgetów", błyskotek, głupstewek, tak samo — czy ktoś chce czy nie — z informacją. Z ogłuszającym nadmiarem informacji.

Odpowiedź wyprzedza pytanie, nie zdążymy zainteresować się czynnie, świadomie, planowo. Niezliczeni specjaliści wysilają się bez przerwy nad tym, żeby pochwycić naszą uwagę, połaskotać jak najenergiczniej zdolność postrzegania, trzasnąć w ucho, żebyśmy musieli odwrócić głowę, spojrzeć, usłyszeć. Rezultat jest taki, że wiemy strasznie dużo, wiemy coraz więcej, tylko nie wiemy o czym. Ktoś na przykład wie i to, kto zdobył medal w Meksyku, i to, z czego robi się zajzajer, i kim był Szyller Szkolnik i gdzie śpiewa Violetta Villas i jak wygląda słynny wzór Einsteina i kto odkrył Archimedesa i co powiedział Napoleon pod piramidami i gdzie Kazimierz nie zbudował zamku dla Esterki i miliard różnych rzeczy. Co zdolniejszy — dwa miliardy, genialny — pięć miliardów. Sami już nie wiedzą, co wiedzą, co im się akurat niechcący, nie wiadomo kiedy, osadziło w pamięci. Jakże się rozeznać, czym się właściwie interesujemy? Są szczęśliwcy, którzy to o sobie wiedzą. Po prostu głuchną i ślepną na wszystko, co się nie wiąże z jakimś tam tematem — tematem, który stał się ich organicznym uczuleniem, alergią. Dochodzą do najwyższych regionów specjalizacji. Na co dzień trudno z takimi wytrzymać, a jeszcze trudniej się dogadać. To jest grupa ludzi, którzy potrafili zaprogramować sobie wyobraźnię. My zaś, zwyczajni chleba zjadacze, zwyczajni telewidzowie, czytelnicy i słuchacze snujemy się tylko jak wielkie gąbki, napuchłe nadmiarem wszelkim, ogłuszone, otępiałe, coraz rzadziej reagujące czynną, czujną, krytyczną myślą. Czym się pani interesuje? Bo ja wiem... Mnóstwem rzeczy.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1688 B-4